

ANDRZEJ KIJOWSKI

---

**Dziecko przez ptaka  
przyniesione**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

ANDRZEJ KIJOWSKI

## *Dziecko przez ptaka przyniesione*

MIASTO NAD WISŁĄ, RZEKĄ W POLSCE GŁÓWNA, LEŻY.

Obrazem pierwotnym miasta i rzeki bieg powieści znaczą, i miejsce akcji, oraz ideę utworu wykładam. Powieść to będzie wskroś realistyczna, chociaż pokrętna: miasto, co stoi, i rzeka, co płynie — oto powieści skrót metaforyczny, który krytykom usłudźnie poddawam<sup>1</sup>.

Miasto promieniste; to nie znaczy jasne, lecz koncentryczne. Podobne słońcu, gdyby zgasło słońce, na ziemię spadło i stygło w oparze krwawym i popiele. Taka jest miasta barwa i struktura. Czerwona cegła z liszajem wilgoci, miedź zzieleniała, liść pożółkły, mokry bruk; dzień z mgły powstaje i we mgle zachodzi, w kotlinie bowiem ukryło się miasto, pośród rozlewisk. Rzeka tu skręca, cofa się i dzieli. Wapienna skała drogę jej tamuje, w dolinę wbija jak szczątek okrętu. Na skale zamek, bo miejsce obronne. Miasto u stóp skały; jak mchu, paproci i borówczanych krzaków gęstwa, co pień obrasta zwalonego dębu; jak tren fałdzisty u stóp wielkiej damy; jak orszak za panem, i jak bruzda ciemna, którą pozostawia w rozciętej ziemi pługu lemiesz biały; i jak ślad okrętu z wysoka widziany.

Serce miasta w rynku, tam, gdzie jest ratusz; wokół tłum kościołów, co jak zbrojna flota wieże niesie ostre i dachy spadziste, i banie z blachy nad mglistą równiną. Stąd promienie ulic na cztery strony, pod kątem prostym, w porządku odchodzą; określa je plantów koło. Poza tym okręgiem nowe miasto wstaje: w dymach białych strumienie szyn błyszczą i kadłuby szklanych hal z szypami kominów — miasto nowe, jak dzwon w obwodzie szerokie, ruchome, z sercem, które czeka na obwodu przyjście, aby dźwięk wydać — u szczytu wisząc, jak nietoperz we śnie.

W tym mieście dom jest jeden, w którym mój punkt oparcia ustalam — miejsce nieruchome świata. Tu opis nastąpi, przez podobieństwa, jak to w zwyczaju dawniejszym bywało, gdy dom do statku porównywał lub do człowieka; czasem do innego domu. Ten by porównać można do fregaty ciężkiej z głową Panny na rufie (o Pannie osobno); do głowy starca z brwią nasępioną (o brwi także będzie); do zamku wreszcie, teatru, kościoła, dworca kolei żelaznej, giełdy, banku i targowej hali. Panna w welonie, z otwartymi dłońmi, stoi tam w niszy, pomiędzy piętrami, stopą ścierając głowę węża (Panno uśmiechnięta, co zdobisz fasadę i wzrok przyciągasz przechodniów nabożnych, sprzyjaj opowieści i przychylności zjednaj tych, co ją poznają!). Nad piętrem trzecim okap, to jest dach tak wysunięty, jak gdyby właśnie zmarszczył brew starzec ponury. Urządzenie takie, cień rzucające na piętro najwyższe, spotka uważny turysta w Florencji, w pałacach Pitti, Strozzi i Medici; okap ten cięty w pola kwadratowe — w polu, jak w pudle, złota róża siedzi, a wszystko w drzewie. Pudła te znawca kasetonem nazwie, kwiaty kwiatonem i uznanie znajdzie dla tego, co dom stawiał, smaku, i tego, co płacił, fantazji.

Projekt pochodził z pracowni mistrza, co w mieście się wslawił licznymi gmachami: dworcem kolei z Gorgony głową u wierzchołka, teatrem z gzymsami, na których rojno było od symboli, bankiem z witrażami i handlową izbą, na którą wieżę wznosił wysoką, ostrą, a nad jej szczyt cały globus wsadził. U tego mistrza z wiedeńskiej szkoły właściciel domu rysunki zamówił, ten zaś zajęty budowaniem giełdy, nad którą szklany dach na sztabach giętych jak namiot rozpinał, robotę nową zlecił asystantom; ci skorzystali z różnych detali, z dawna gotowych na różne potrzeby. Mistrz budowlę tworzył w pseudostylach

<sup>1</sup>poddawam (daw.) — dziś popr. forma: poddaję. [przypis edytorski]

różnych: zamki bankierów, gorzelnia warownie, łaźnie publiczne na kształt rzymskich termów i w modnych badach zdrowych wód pijalnie — podobne meczetom. Stąd domu tego różne podobieństwa i styl budowy synkretyczny: fasada w kolumny, brama w ostroluku, portal w kafelki, nad nim herbowa tarcza — pusta, nadto amorki z gipsu, plwacze, maskarony, orzeł z pogonią *al fresco* u szczytu, nieco mozaiki i pszenicznych kłosów z grubego drutu. Tylko Panna jedna miejsce swe dostała z woli fundatora, który cześć jej składał jawną i kosztowną.

Oto fundator: starzec z brwią nasepioną i wąsem jak wiecha, starzec w meloniku, w płaszczu czarnym, z laską, której koniec gumą ochroniony, by nie stuką. Jestem jego wnukiem. Dopomóż wnukowi powiedzieć historię, która w domu twoim początek bierze, jak rzeka w źródle, i jak mego kraju historia w mieście, co nad rzeką stoi. Dopomóż, starcze, oraz wy, nieznan...

---

Nad wejściem do domu tablica była z napisem złożonym: ZAKŁAD WYNAJMU KONI I POWOZÓW, ZAŁOŻONY W ROKU... — tu data zatarta. Obok domu, który na sam brzeg ulicy wstąpił, inne wyprzedzając, w głąb cofnięta nieco brama była — zwykła, jak na wsi, z desek skośnych, między słupami z cegły zawieszona. Na podwórzec wiodła, a ten, kostką wypukłą wyłożony, krył się za domem razem z budynkami, co go otaczały zwartym czworobokiem. Stajnie tu były, wozownie, warsztaty, składzik na siano i mieszkalny czworak. Duże gospodarstwo — tym osobliwe, że pośrodku miasta, jakby osaczone w gęstwinie ulic i wysokich domów, których ściany, kuchenne ganki, okna wychodków wąskie jak strzelnice, trzepaki, śmietniki do folwarku przytknęły, murem odgródzone; po jego grzbiecie drut kolczasty pełzał. Z jednej tylko strony przestrzeń poza murem otwarta była — chociaż niezupełnie: dziedziniec tam był koszar policyjnych, i także stajnie, remizy, garaże, a w głębi gmach czerwony; jedno jego skrzydło z murem się szepiło, a okna w nim małe i w kraty odziane. To był areszt miejski.

Zakład był znany; sto lat już istniał, gdy na świat przyszedłem. Usługi różne mieszkańcom oddawał, a zawsze uroczyste: od chrzcina do pogrzebu, poprzez bale, śluby, imieniny wystawne, srebrne albo złote gody małżeńskie, orderu wręczenie, wojskowy awans lub habilitację, poprzez zjazdy, kongresy, odpusty, rocznice, odsłonięcia pomników, akty erekcyjne, poprzez wszystkie święta, które człek odbyć musi oraz te, co wymyśli sam, gdy mu ich mało, zakład dziadka służył karawanem, landem, karetą lub bryką, koniem białym lub czarnym, gniadym lub kasztanem, stangretem w liberii, w cylindrze, w kaszkiecie, w pirogu z piórami lub w ludowym stroju; na wszystko był gotów nasz zakład wynajmu.

Kiedyś był potężny. Sto koni podobno chodziło w zaprzęgach różnych, a obszar stajen, wozowni, wygonów ciągnął się daleko — bo łąki były wkoło, które dziadka mego ojciec w dobrych czasach kupił. Mój dziadek je sprzedawał, gdy czasy przyszły gorsze. Coraz mniej świętowano, upadła kultura, o paradę nie dbano; konie stały i żarły sieczkę oraz siano, rozpiłi się furmani, zetlały liberie. Miasto swe granice dalej przesunęło, magistrat zarządził rozbiory hipotek, ulicami cięto dziadka mego włości, zwały się wokół kamienic szeregi. Oblężony dziadek mury wciąż podnosił i drutem najeżał fortecy granicę. I konie sprzedawał, kiedy im zabrakło paszy i noclegu, a furmanów zwalniał. Chcąc podnieść powagę firmy i rodziny, kamienicę wznosił nową, opisaną wyżej; w nią pieniędzy włożył więcej, niż posiadał — prestiż wprawdzie podźwignął, lecz kredyt obniżył. Zakład odtąd upadał. Upadał powoli jak dąb podcinany, który koronę ku ziemi przechyla nie prędzej od słońca, gdy we mgłę się skrywa przedwieczornej; aż punkt krytyczny równowagi minie — wtedy runie z trzaskiem jak zwierzę ubite (tak i słońce w oczach ginie, jakby ręka czyjaś, za horyzontem skryta, ściągnęła je raptem albo zadusiła). Zakład runął, gdy wojna wybuchła Austro-Węgier z Serbią i innymi krajami. (Młodym przypominam, że ono miasto, nad górnym biegiem Wisły położone, wchodziło w skład monarchii, której tron stał w Wiedniu.) Zakład runął wraz z Austrią, której armia potężna, zanim swą wojnę ostatnią zaczęła, konie wzięła dziadkowe wszystkie, co do jednego: pod wierzch poszły cuganty, do armat i trenów, a furmani w szeregi, a landa i bryki w kolumny transportu. Wojsko stanęło w budynkach, kuchnie na podwórku. Miasto bliskie granicy, która Austrię dawną z dawną Rosją dzieliła dawną Polskę krając, na mapach imperium czarną gwiazdą znaczone jako Festung — twierdzę. Armaty dwakroć grały w bliskiej okolicy

i dwakroć wzywano mieszkańców do wyjazdu, gdy Serbii sojusznik kampanie wygrał. Pustoszało miasto od cywilnych ludzi, a gęstniało od wojska. Stukali nocami do dziadkowych okien zapóźnieni żołnierze, kwatery żądając. On czarne zasłony w oknach porozwieszał, „wyjechałem” napisał na bramie zakładu, zamknął się z rodziną i obronę rozpoczął, wściekłą a milczącą w swym domu pięknym pod Panny figurą, do której modły zanosił żarliwe, aby starła głowy nieprzyjaciół, co na zgubę jego zewsząd armie pchają.

— Ona zwyciężyła — mawiał później, kiedy zawierucha minęła, upadły mocarstwa, rozpierzchnęły<sup>2</sup> się armie; na środek podwórca dziadek zwlókl zatęchłe sienniki i słomę — brudny osad wojny — stos wielki ułożył i własną ręką podpalił, *Zdrowaś Maryja* szepcząc. Od wojska upadłego kilka koni kupił, przyjął niedobitków paru, co z wojny wrócili, i zakład otworzył, ogłaszając w gazetach swe dawne usługi. — Wróć — mówił — czasy dawne, bo wszystko, co było odeszło<sup>3</sup>, powraca. W świecie nic nie ginie, a tylko się kryje na czas jakiś, jak słońce wieczorem. Świat jest kołem — mówił — wiecznym powtórzeniem, rytmem. W rytmie jego piękno oraz sprawiedliwość.

W to wierzył głęboko. — Panna czysta — mówił — jeszcze wciąż depcze głowę węża. Ten wąż to przemiana, to czas-złodziej i morderca. Panna go zabija i radość zwiastuje, radość narodzenia...

Tak mówił i na żonę spoglądał z nadzieją. Oboje już południe żywota minęli, siwy włos posrebrzył im głowy, lecz Pannę prosili o pociechę ostatnią — o syna-dziedzica, o brata dla córek czterech, które mieli. Jak o cud prosili, jakby o nagrodę za to, że tak mocno wierzyli w małej stopy nad wężem przewagę, w młodość wieczną, w przeszłości powroty. Ten cud się nie zdarzył. Doktorów dziadek pytał — głowami kręcili. Płakał dziadek przed Panny obrazem, mówiono, że na nią krzyczał i pięścią wygrażał. Tak pragnął ojcostwa, tak za synem tęsknił, tak córek nie cierpiał i żonę zadręczał, tak straszny się stawał w pożądaniu dzikim, i tak niepojęty w swym żalu niesłusznym, i tak okrutny, że... Później powiem resztę.

---

Tę opowieść słyszałem od Dubiela, stangreta, który u dziadka także za stróża służywał. Człek to był rozmowny, aż nadto... Aż nadto: któż takie rzeczy dziecku opowiada? Tłumaczy go prostota i to, że mi ciekaw był nadmiernie. Gdy mi tylko z domu pozwolono wybiec, szukałem Dubiela, który uprząż czyścił lub słomę wygarniał. Stary był, w dziadka latach prawie; czuprynę miał siwą, bujną pod brudnym kaszkietem, który nosił na ucho, z fantazją, z żołnierską.

Bo żołnierzem był dawniej.

— Hej — mówił — paniczku... W arcyksiążęcych ja ułanach służył... — I śmiał się piskliwie, papierosa kręcąc w palcach czarnych i twardych jak kołki.

— He, he — ciągnął — czerwone portki my nosili, czaka z bączkiem i złote szamerunki. Ładne było wojsko dawniej, kiedy o tej Polsce, co teraz nastąpiła, ani słychu nie było — i dym nosem puszczał.

W czasie wielkiej parady, opowiadał stary, przed samym cesarzem, koń zrzucił Dubiela i cały pułk po człeku przeszedł, zanim sanitariusze go zabrali. Lekarze złożyli połamane kości i wydali świadectwa, że do służby *untauglich*<sup>4</sup>; za pazuchę sięgał, papier wygrzebywał przetarty na brzegach i pieczęć pokazywał z czarnym orłem dwugłowym. Przyjął dziadek Dubiela i dał mu w opiekę czarne konie, które do pogrzebów trzymał. Mieszkał Dubiel samotny w czworaku przy stajni, w izdebce ze wszystkich najmniejszej. On bramy zamykał, gdy wieczór zapadał, i psy spuszczał przed nocą — dwa złe kundły, szare, wyleniałe, które przez dzień cały ukryte były gdzieś za stajnią, aby dzieci nie straszyć.

Miasto nasze lubiło pogrzeby. Kiedyś było stolicą, później być przestało, bo król stąd wyjechał i dwór z sobą zabrał. Zwyczaj tylko pozostał, że na zamku naszym królowie brali korony, a potem wracali już prochem, w krypcie spocząc, w podziemiach katedry.

Miasto żyło tylko wtedy, gdy umierał król — ceremonią żyło, świętem, pompą — zresztą spało, czekając, aż się nowy cykl wypełni. Każdy chciał w pogrzebie kroczyć, kie-

Miasto, Pogrzeb, Święto,  
Obyczaj, Obrzędy, Król

<sup>2</sup>rozpierzchnęły (daw.) — dziś popr. forma: rozpierzchnęły. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>co było odeszło (daw.) — forma daw. czasu zaprzeszłego; znaczenie: co odeszło (dawniej, przedtem). [przypis edytorski]

<sup>4</sup>untauglich (niem.) — niezdolny, nienadający się. [przypis edytorski]

dy przyjdzie wielki dzień. Na to trzeba było jakiś kostium mieć, godność oraz należeć do kompanii, która tradycyjnie miejsce bierze w pstrym orszaku: stąd więc u nas zatrzęsienie bractw i cechów, korporacji<sup>5</sup> i towarzystw, chórów, orkiestr, honorowych straży, syndykatów, związków, klubów; stąd gust szczególnie maskarady, umiłowanie ostentacji oraz gapiostwo. Miasto stare, było jak starzec, co żyje wspomnieniem świetniejszych czasów, i jak dziecko zarazem, co czeka na święto.

Dubiel o pogrzebach swoich opowiadał jak żołnierz, co bitwy wspomina. Królów dawno nie chowano w naszym mieście, bo ich już nie stwarzał kraj rozcięty na trzy części, z których każda w innej stronie miała tron. Lecz pogrzeby nie ustały — cykl wciąż trwał i wciąż zwożono tutaj zwłoki jakieś, którym naprzeciw wychodził lud przebrany w swoje kostiumy stare, by znów przeżyć radość żałoby i parady. A to poeta był lub wódz, albo inny duch potężny, w którym osierociały kraj monarchę-ojca uczcić pragnął.

— W koni sześć my go wieźli, a na każdym kapa srebrna i w uszach rajery<sup>6</sup> — jak — he, he — u dam... Ja w kołpaku z kitą i w czamarze, w siodle siedzę i prowadzę wóz czy ten, jak mówili, rydwan — a to były jakby schody, jakby ołtarz albo tron. Trumna srebrna — co się nastękały chłopcy, gdy ją podźwigały w górę — trumna, mówię, na tych schodach, czyli na rydwanie, który moje konie ciąghy<sup>7</sup> — rzeźbiona w orły i korony, i na łapach lwich. A to już był proch, paniczku, garstka tego... Wiem, bo pisał o tym „Czas”<sup>8</sup>. Nic nie było w środku, kiedy otwarli grób: próchno pono i włosów pukiel — złoty albo siwy.

— A kto to był, Dubielu?

— Ten proch? Już nie pomnę, bo do nazwisk nie mam głowy, a w pogrzebach wielum sławnych chodził<sup>9</sup>. Ten, com go wtedy wioźł<sup>10</sup>, od stu lat już, pono<sup>11</sup>, nie żył — tak pisało — ale jeszcze raz go chować chcieli, bo gdy pomarł, nie wiedzieli ludzie oni<sup>12</sup>, co go znali, kto to był. Skrył się, uciekł, czy nakłamał tak o sobie — tego nie wiem — panicz lepiej wiedzieć będzie, w szkole o nim pewnie uczą. Wtedy wspomni panicz, że go wioźł<sup>13</sup> — ten, znaczy, odgrzebany proch. Proch — powtarzał, głową kręcąc — i koni sześć, srebra, drzewa, sukna huk, i biskupy, i sokoły, bractwa, cechy, strzelcy. A co księży!... I ludu moc. A płakali! Dzwony były...

Bajał Dubiel, jak to zwykle baje gmin. Stangreta władze umysłowe stępione były alkoholem, który od lat wielu płynął w jego krwi. Policzki jego barwił czerwony kwiat upleciony z drobnych żyłek, który siniał, kiedy Dubiel wpadał w uniesienie albo w złość.

— Dzwony! — chrypił<sup>14</sup>. — A Zygmunt, dzwon królewski, ten największy pono w świecie, to ci mówię — jako organ grał. I śpiewał chór. W kwiatkach i chorągwiach miasto całe. I płakali, i płakali. Jadę, konia w pysku trzymam, kości moje połamane bołą, wszystko boli, bo to taki pogrzeb trwa a trwa. Myślę: zlecę i stratumą znowu, w bok odwłoką, już nie złożą drugi raz. Nikt nie spojrzy nawet w kupkę kości utarzaną w końskim łajnie, w kwiatkach, wstęgach, co nimi był bruk zasłany — ani nie usłyszą krzyku, bo w ten proch, który wieżę<sup>15</sup>, patrzą wszyscy. A w oczach ciemno, z nieba leci skwar na moje sukna czarne, na mój upiórzony łeb. Myślę: ty się, Dubiel, trzymaj mocno, ty się nie złam, to jest jakbyś teatr grał. Ludzie patrzą, żagwie płoną, świece w oknach i w latarniach gaz — choć to dzień był — cisza taka, tylko płacz i śpiew z daleka, i kopyta klapu-klap po bruku. Nie psuj, mówię, Dubiel, gry, nie upadaj, nie umieraj. Ludzie płaczą — nie

Lud, Słowo, Obyczaje,  
Alkohol, Uroda

<sup>5</sup> *korporacji* (daw.) — dziś popr. forma D.lm: korporacji. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *rajery* — czaple pióro, używane daw. do ozdoby damskich fryzur a. kapeluszy. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *ciąghy* (gw.) — dziś popr.: ciągnęły. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> „Czas” — wydawany w latach 1848–1934 w Krakowie dziennik zw. z frakcją konserwatystów krakowskich (tzw. „Stańczyków”), stanowiący również forum dla publikacji krakowskiej szkoły historycznej. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *w pogrzebach wielum (...) chodził* — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: w wielu pogrzebach chodziłem. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *com go (...) wioźł* — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: co go wiozłem (którego wiozłem). [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *pono* (daw.) — podobno. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *ludzie oni* (daw.) — tamci ludzie. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *żem go wioźł* (daw., gw.) — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: że go wiozłem. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *chrypił* — dziś popr.: chrypił (tj. mówił ochryłym głosem). [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *wieżę* (gw.) — dziś popr.: wiozę. [przypis edytorski]

przeszkadzaj, ludzie milczą — nie krzycz, zęby ściśnij, końską grzywę malowaną srebrem mocno w garście chwyć, i przetrzymaj. Tak pod zamek zajechalim<sup>16</sup>, pod tę górę, co ją panicz zna.

— Wawelską! — wykrzyknąłem w ogniach cały, chociaż mi to opowiadał chyba setny raz.

— Jakże! Jak tam stromo, to już panicz dobrze wie. Konie jak wryte w miejscu staną, ani rusz dalej. Poskoczyli ludzie pchać. Wczepili się w koła, ramionami rydwan wsparli, jękli „hej!” i „rup!” — rydwan drgnął! Konie moje w pianie całe, chrapią, w miejscu tupią... Ja mojemu brzuch do krwi ostrogą orzę, uzdą szarpię, pięścią tłukę w kark, „wio, malutkie! — wołam — wio”. Poszły im spod kopyt skry jakby z kuźni. Na kolana pada lewy, za nim mój... Skoczą ludzie, szory<sup>17</sup> chwycą, ciągną, szarpią. Krzyczę: — „Puszczaj jeden z drugim, zleżę, będzie lżej”. — „Siedź — odkrzykną — my ciągniemy”. — Poszło jakoś... Droga pusta, bo już orszak poszedł w górę i tam czeka w bramie pod kratą podniesioną, pod orłami kamiennymi... Zamek w górze, a na wałach ludu mrowie — patrzą. I ten dzwon, jak burza, jak ulewa, jak Dunajec wiosną, gdy się wścieknie i zalewa kraj — panicz nie wie, ja to wiem, bom jest z podkarpackich stron — tak ten dzwon na łeb się walił... Tak te konie w iskrach, w pianie, w jęku szły... Tak mnie ciągli<sup>18</sup>, tak mnie wiedli w bramę, na wawelski dwór, gdzie czekali w czerni, w bieli i w purpurze... Berła, szpady i łańcuchy... Krzyże, gwiazdy, wstęgi, pióra. Orły — kończył w zamyśleniu — orłów kupa...

— I co było dalej? — pytałem niecierpliwie.

— Nic nie było. Pochwalił mnie pan, bo dla firmy to był honor. W gazetach stało, kto dał konie.

— Ale czyś wyjechał w górę?

— Nie — ze wstydem odparł furman. — Zaparły się te czorty wściekle. Żołnierze trumnę wytaskali<sup>19</sup>...

— A potem?

— Nic, powiadam. Jeszczem nieraz chodził<sup>20</sup>, tak...! I pójdę znów, jak będzie trzeba. Głową kiwał i zwiłkę bibułkową ślinił.

— A dziadek?

— Co dziadek?

— Dostał syna?

— Jakiego syna?

— Przecież prosił?

— Kogo prosił?

— Mówił Dubiel!

— Co mówiłem?

— Że płakał i wygrażał, i babkę zadręczał, aż — i nie skończył Dubiel.

On chichotał i kółka z dymu puszczał.

— Więc, Dubielu? Mów, bo dziadkowi powiem, żeś nakłamał.

---

Ja rodziców nie miałem; ciotki mnie chowały, dwie bliźniaczki, i dziadek, od lat kilku wdowiec. Kto jest moją mamą, a kto tatą? Dlaczego braci nie mam ani siostr? Skąd się wzięłam i kiedy na ten świat przyszedłem? Wszystko, co dawne i początkowe, wzbudzało w sercu mym niepokój, szukałem śladów moich własnych, abym mógł wrócić, skąd przybyłem. Zdawało mi się, że jestem więźniem, zakładnikiem może, porwanym dzieckiem. Na górnych piętrach kamienicy pod Panną mieszkały pozostałe ciotki z mężami i gromadą dzieci. Nie wolno mi było z nimi mówić ani bawić się, nawet gdy zbiegały na dół. Wołano wtedy:

— Mały! Do domu! Wracaj zaraz!

---

<sup>16</sup>zajechalim (gw.) — dziś popr.: zajechaliśmy. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>szory — uprzęż złożona z szerokiego pasa zakładanego przez pierś konia oraz pasów bocznych i pomocniczych rzemieni. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>ciągli (gw.) — dziś popr.: ciągnęli. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>wytaskać (gw.) — wynieść (z trudem), wydźwignąć. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>jeszczem nieraz chodził (daw.) — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: jeszcze nieraz chodziłem. [przypis edytorski]

Zawsze jedna z bliźniaczek miała mnie na oku. I dzieci tamte, kuzynki moje (chłopców nie było wśród nich wcale) — uciekały, kiedym się zjawiał. Kto jestem, że mnie tak pilnują i taki wzbudzam strach czy wstręt? Pytałem Dubiela, a on o pogrzebach bąjał albo o wojsku. Czasem tylko, gdy pijany był bardziej niż zwykle, palnął coś tajemniczego, jak o tym synu, którego dziadek pragnął, gdy już był stary. Palnął, żałował potem, a gdym go nudził, bąjał znowu, aby mi zamącić w głowie:

— Ano słuchaj: kiedy tak ją dręczył — babkę niby twoją — rzekła mu jednego dnia...

— Skąd to wiesz?

— Przede mną pan tajemnic nie ma!

— Więc wszystko mów!

— Przyszła rano we łzach cała i powiada: sen miałam, Teofilu, sen dziwny dziś miałam. Szłam przez ogród, płacząc, i o syna prosiłam Panienkę Najświętszą, opiekunkę naszą... Aż nagle nad sobą łopot usłyszałam, jakby skrzydeł ogromnych, i sęp albo orzeł — orzeł pewnie, bo biały (mówił Dubiel) ze szponów upuścił pisklę czarne, ślepe. I głos przemówił do mnie słodki jak muzyka: „Podnieś je i przyjmij”.

— I co? — wykrzyknąłem.

— I tyś się narodził.

— Komu? Babce?

— He, he! — jakże? Mamie twojej.

— A gdzie mama?

— Umarła.

— Tak zaraz?

— To się zdarza.

— A tata?

— Jest gdzieś w świecie.

— Gdzie? Mów mi zaraz!

— Będziesz mi tu głos podnosił? Będziesz krzyczał, rozkazywał? Marsz do domu, dziadka pytaj albo cioć. Ja tutaj mam robotę... — i ręce mu się trzęsły, kiedy swe postronki zbierał.

Dziecko, Ptak, Cud,  
Tajemnica

---

Sam nie wiem, kiedy po raz pierwszy pomyślałem o moim początku. Dzieckiem wszak szczęśliwym byłem: zabawek miałem wiele i wolności tyle, żem jej zużyć nie umiał. Miałem czaka i hełmy z blachy i tektury, półpancerze błyszczące niklem i pozłótką, szablę z frędzlą i gardą, mieczyk oraz strzelbę, która łoskot sprawiała gromki, jak prawdziwa. Bęben miałem i trąbę oraz konia z ceraty na czerwonych biegunach; żołnierzy ołowianych pudła pełne, nakręcane koleje, klocki kamienne firmy Anker, z których wieże wznosiłem jak ja sam wysokie, i kredek stopy z fabryki Iskra i Karmański — wszystko miałem, com zechciał, i swobodę, powietrze, i przestrzeń, i czas. Od porannego do wieczornego mycia zębów słyszałem zachęty: — Baw się, boś dziecko, pij mleko, bo zdrowe, krzycz i hałasuj, kiedy masz ochotę, biegaj sobie nago (lecz ręką części wstydlivych nie tykaj), czytaj troszeczkę, rysuj ile wlezie (smaruj jak umiesz, na formę nie zważaj), wyzwalaj z siebie tajemne pragnienia, śpiewaj fałszywie, pleć, co ślina niesie, dzieckiem bądź co sił, kwitnij na potęgę.

Tak mi mówiono. Natura moja, przez dziadka i ciotkę nadzorowana czule, prężyła dzielnie, by tak rzec, ramiona, dom nasz zaciszny napelniając wrzawą i siejąc wokół chwackie spustoszenie. Zasmarowałem już całe wagony papieru, nie darowałem białym drzwiom i szafom, ścianom, futrynom ani szybom, by nie tamować niszczących skłonności, co zgodne z naturą.

Nad wychowaniem moim czuwał lekarz-specjalista, pan doktor Kraft. Łagodny, smutny, siwy pan przyjmował mnie raz w miesiącu w jasnym gabinecie, gdzie pełno było szkła i rur. Ściany zdobiły rysunki dzieci w jasnych ramkach: *Mama i tata*, *Moje Miasto*, *Czym chcę być*, *Moja książeczka*. Tata zęby szczyrzył jak wilk i łapy długie miał, do nóg — a te znów wielkie jak łopaty. Mama cała w różowej farbie upaprana, a na bulwiastej głowie żółty pióropusz — czyli włosy. Zielony potwór to wojskowy, czarny — policjant czy kolejarz, kwadraty całe dziurkowane — to domy, miasta i koleje, zielone kupy to przyroda, i inne jeszcze bohomy w kolorach barszczu i budyniu, sadzy, krochmalu oraz guana

Dziecko, Szczęście

zbierał łagodny doktor Kraft, który naukowo badał twórczość dzieci. I ja także znosiłem moje malowidła, które oglądał, marszcząc brwi.

— Co to? — pytał, wskazując kałuże rozmazanych farb.

— To dzień — mówiłem — to noc, lato — mówiłem — dom, podwórko.

— Hm — głową kręcił — a dlaczego pustka taka we dnie i w nocy, w domu, w polu? Dlaczego dzieci nie malujesz, dziadunia, siebie i zwierzątek?

— Bo ja — odpowiadałem bystro — sam się zwykle bawię.

— Ach, sam... A jak się bawisz?

— Dobrze. Polecenie pana doktora, abym od narzędzi ostrych nie stronił i lęku w sobie nie wytworzył przed długim i spiczastym kształtem, wykonałem: obrusy wszystkie pokrajałem, firanki ściałem i skłułem mebli tapicerskie części; sztychem niejednym zagroziłem ciociom — lubię, kiedy krzyczą, lubię ich lezki i palców kiwanie. Dręczenia zwierząt też nie zaniedbałem. Z fuzyjką moją, wiatrem ładowaną do stajen się skradam i salwę oddaję, która przy żłobach zamieszanie sprawia. Łają mnie furmani i Dubiel wygraża, ale dziadka wola drogę mi toruje. Przez podwórze pędzę pierzaste watahy, szablą i lancą kłując, gdzie popadnie. Dzień mam pracowity. Jedzeniem pluję i służbę obrazam, w łazience brudzę, higienie urągam, a kiedy kto w poprzek mym pragnieniom stanie, „pozwólcie dziecku”, płacząc rzewnie, proszę.

— Hm — pytał doktor — lęki jakieś odczuwasz?

— Żadnych.

— Moczysz się?

— Czasem.

— Rysujesz klucze?

— Chciałbym, lecz nie umiem.

On pytał dalej:

— Boisz się schodów? Zjeżdżasz po poręczy? Jaki kolor lubisz, a który cię twoje gęsią skórka marszczy? Wymień zapach, w którym marzyć zwykłeś o rzeczach zdrożnych — nie wstydz się, mów śmiało. Jeśli odpowiesz inaczej, niż chcemy, potwierdzisz tylko to, co dawno wiemy.

— To po co pytać?

— Abyś odpowiadał. Tajemnic w tobie nie ma żadnych, tylko nieposłuszeństwo możesz przeciwstawić światu, który zewnątrz ciebie i wewnątrz jednej jest natury. Ty jesteś tylko punkt krytyczny, w którym materia psychiczna ze stanu symboli w akt przechodzi. Stanie się to mimo ciebie lub z twoją pomocą. Twoje przyzwolenie nic nie zmienia, tobie tylko daje złudzenie wolności, a w nim całe twoje szczęście osobiste.

— Niezupełnie rozumiem.

— Nic dziwnego, jesteś jeszcze malutki. Tym śmielej wyznaj wszystko, gdyż winy w tobie nie ma żadnej. Śpisz w nocy?

---

Nie spałem. Bliźniaczki do snu mnie kładły, okrywały łóżko ciemną chustą z frędzlami, aby noc była dla mnie głębsza jeszcze i abym w nią całutki wpadł: odmawiały nade mną i ze mną pacierze, opiece Panny powierzały, Anioła Stróża upraszając, aby mi był ku pomocy; całowały mnie czule, nocnik ustawiały na wysokim krzeselku, abym sięgnąć mógł łatwo, kiedy tylko zechcę. Odchodzili człapiąc pantoflami i szepcząc do siebie:

— No, spokój nareszcie.

— Może zaśnie.

— Nie zaśnie. Uciekajmy, żeby nas nie wołał.

I zamykały cicho drzwi.

Odgarniałem fałdy czarnej chusty i na pokój patrzyłem. Przez zaciągnięte story z gęstej materii koloru zbutwiałego drzewa prószło światło blade ulicznych latarni; mieszkanie było na parterze, wysokim dosyć, tak że gazowa lampa na żelaznym słupie, akurat była tuż przy szybie; jej błękitny płomyk drgał czasem i przygasał, by znów za chwilę się rozżarzyć, a ja myślałem, że już świta. Pragnąłem zawsze noc przeczekać, zobaczyć dzień, jak wstaje, i móc powiedzieć ciotkom, kiedy przyjdą: nie spałem wcale całą noc. Naprzeciw łóżka, na białej ścianie, wisiał zegar szafkowy. Tykał kiedyś głośno, wahadłem poruszał i godziny wybijał; zatrzymały go ciotki, by mnie nie rozbudzał. Lśniły tarcze wahadeł



i wagi spuszczone na dno oszklonej szafki. Pod zegarem komoda czarna, serwetą nakryta. W niej moje zabawki: wojsko i armaty, czaka, klocki i farby. Na komodzie figurka Panny w białym gipsie bardzo starannie wyrzeźbiona — kopia dokładna tej, co domu strzeże z wysokiej niszy. Panna biała i zabawki, nieruchomy zegar, nikły blask z ulicy — taki obraz w oczach miałem, gdy ze snem walczyłem, jak z aniołem: spać nie chciałem.

Nie był to kaprys ani zła wola ze strony upartego dziecka, ale nadzieja, że noc przyniesie rozwiązanie zagadki, która mnie dręczyła. Wiedziałem, że nie może człowiek żyć, jeśli rodziców nie miał nigdy. Miałem ich zatem, skoro żyję, i oni żyją gdzieś we świecie. Dlaczego kryją ich przede mną lub mnie przed nimi dziadek, ciotki, pan doktor Kraft i nocny stróż? Czy mnie nie szuka ojciec, któremu zabrano mnie przez zemstę albo za karę, czy nie krąży nocą w pobliżu domu, czekając, aż się pośpią wszyscy, a wtedy w okno moje zastuka cicho i „otwór” krzyknie głośnym szeptem... Kiedy dziesiąta biła w odległych pokojach, a w koszarach policji trąbka grała na ciszę nocną, Dubiel psy swoje spuszczał z łańcucha. Głośno gwizdał przy tym — gwizd długi, po nim krótkie cztery, aby ostrzec każdego, kto by na podworec wchodził, że psy biegają na wolności. Ten gwizd odbierał mi nadzieję: na poduszki opadałem z żalem, lecz i z ulgą: nic się dzisiaj nie stanie — myślałem — wszystko będzie, jak było, do jutra, do rana. I zabawę zaczynałem we wszystko, czegom pragnął: w ucieczkę bawiłem się, porwanie przez ojca, w ojca, który porywa, w matkę, która czeka, byłem dziadkiem, co broni, Dubielem, co strzeże, i kimś czwartym, potężnym, który wszystkich godzi, karze i nagradza.

Aż zabawa mnie zmęczyła. Pościel miałem zmiętą i rozgrzaną, chustka na podłogę spadła, zdyszany byłem i spocony od gonitw, bójek i przemówień, którym odgrywał; kiedy pomysłów mi zabrakło oraz sił do dalszych przygód, snu pragnąłem, sen wzywałem, zaklinałem, aby przyszedł, aby przy mnie stał. Ale nie wracał: odpędzony, z dala ode mnie błądził nocą — mój czarny anioł obrażony. Słyszałem zewsząd jakieś głosy, stąpania, skrzypienie otwieranych drzwi, a z cieniów, co się po pokoju kładły, leżały się cienie nowe, obce. Wszystko, czego pragnąłem i co stwarzałem, gdym się bawił, żyło teraz nieposłusznej mej władzy twórczej. Stukał do okna ojciec, wołał uspiwszy czujność psów i stróża, a jego ludzie zbrojni dom otaczali, aby mnie porwać i wywieźć do innego miasta, gdzie matka czeka. Ja spać chciałem, tu, na miejscu, w pobliżu Panny i zabawek, i żyć jak żyłem — w niepewności, czekaniu, żalu i zabawie. — Ratusz — wołałem do figurki białej — tyś mą matką, innej nie chcę, i ojca innego mieć nie pragnę — poza dziaduniem.

Pogodzony, zaplakany, w sen zapadałem jak w pułapkę przez ciotki dawno zastawioną.

---

Dziadek i ja, wnuczek, jednaką mieliśmy złość do ciotek, czyli do bab, jak powiadał.

— Mały — krzyczał ze swej kancelarii, gdy mu co dopiekło — zbieraj się, jedziemy precz od bab.

Dusił dzwonki, których klawiaturę całą miał nad biurkiem. Zbiegali się stangreci, ilu ich tam wszystkich było: Staszek, Ignac, Wojtek, Dubiel.

— Który wolny?

Wszyscy wolni, śmiech powiedzieć, bo tak ten interes szedł, że stangreci w karty grali cały boży dzień.

— Dubiel — wołał dziadek na starego, co czarne konie miał w opiece. — Zaprzęgaj, pojedziemy se gdzie w świat. Weź karetkę. Czy wymyta?

— Jakże, panie...

— A kopyta pastą, durniu, wymaż. Niech się świecą...

— Jak psu jajka — kończył Dubiel, co rozkazy dziadka znał jak pacierz.

— No.

I ruszali — starzec, dziecko, stangret, konik — zagniewani na ten babski, panie, świat.

— W górę! — wołał dziadek, wychyliwszy głowę przez okno karetki; podobna była do trumny, gdyby trumnę w sztorc postawić na dwóch osiach. Czarna była, lśniąca, okna z boku miała dwa i podłużne trzecie, z tyłu, na plecach lekko przygarbionych. Stangret siedział wysoko, tak że głowa w kaszkiecie płaskim sterczała nad dachem jak kurek, co wskazuje stronę, z której wieje wiatr. Czarny koń, w dyszle dwa ujęty jakby w szczytce, kłapki czarne miał na oczach, by nie gapił się byle gdzie, nie strachał, tylko prosto

biegł. Błady promień wplatał się w szprychy kół i drżał w nich jakby srebrne źdźbło. Kopytami świecącymi koń przebiegał i nad jego grzbietem smętnie zwiślał bat z pstrą kitajką. W środku ciemno trochę, ciasno, i ciepło od dziadka sapiącego. Mruczało coś w podwoziu, trzeszczały ścianki, szybki cicho dzwoniły, zachodząc przezroczystą mgłą.

— W górę! — wołał dziadek, chociaż ulica nie wznosiła się ani trochę, opadała nawet nieco, bo miasto leżało w kotlinie, a dom nasz stał na Piaskach, na wydmie dawnej, opodał dawnych murów miejskich.

— Jak to w górę, dziadziu? — pytałem uparcie za każdym razem, gdy rozkaz taki usłyszałem.

— No, w miasto, w rynek — odpowiadał jeszcze gniewny — a głupich pytań nie zadawaj, bo dobrze wiesz.

— A dlaczego tak? Wcale nie jedziemy w górę.

— Miasto jest górą.

— A nieprawda!

— Prawda, bo tak ludzie mówią, odkąd żyję.

— A dlaczego?

— Co dlaczego?

— No, tak mówią...

— Góra — mówił — czy ja wiem. To może władza, tron...

— Królewski?

— No.

— Przecież dawno nie ma króla.

— To będzie.

— Tu? W naszym mieście?

— A czemu nie?

— Inne czasy, dziadziu.

— Inne czasy, inne czasy — ja ci dam. Głupcy mówią tak jak ty. — Baby... Ja ci powiem, słuchaj, dziecko: co kiedyś było, musi powrócić, wszystko się wraca, wszystko powtarza, nic nie umiera, życie jest kołem, jak to miasto nasze i jak ta ziemia cała, jest kuliste. Głupcy mówią inaczej, baby głupie mówią, żebym konie sprzedał i karetki, i powozy, karawany. Powiadają, że już tego nie chce nikt, bo czasy przyszły inne. Automobil — mówią — jest dla nowych czasów koń. Śmierdziel taki... Więc mi mówią: taksówki, ojciec, kup i do stajni wstaw, a jak nie, to nas twoje konie zjedzą. A niech zjedzą — czerwieniał z gniewu — głupie baby. Jeszcze kupię...

— Co kupisz, dziadziu? Powozy? Konie?

— A coś myślał? Przecież nie dla kur te stajnie stawał lat dwadzieścia temu ledwie, przed samą wojną... Jak stawałem! Szczegę ja i ty rozsypiesz się na proszek, a te moje stajnie przetrzymają wiek, co mówię, wieki dwa, może trzy, i więcej, jak zamek... przetrzymają, mówię, bo w niczym nie są gorsze od tego, co budował król. I mury te, com postawił, będą wieki stać, i dom, w którym tyś się rodził...

Zabiło serce moje.

— Ja się rodziłem?

Zmieszał się dziadek, w wąsy dmuchnął.

— Jakże inaczej? Przecież kura cię nie zniosła ani inny ptak.

— Właśnie, dziadziu, spytać chciałem...

— Nic nie pytać! Przez okienko sobie patrz — krzyczał gniewnie — ja się zdrzemnę.

— Jaki, dziadziu, ptak?

— Żaden ptak, żaden ptak, będziesz duży, to się dowiesz, w szkołach cię nauczą o tym, teraz dość, ja śpię — drżały mu ręce, gdy melonik na nos wciskał i podnosił kołnierz palta.

Kłapał konik po nierównym bruku, kołysała się karetka, czasem szarpnął kary i uskokował w bok. Dziadek spuszczał wtedy szybę, na tył głowy melon zsuwał, łącząc stangreta:

— Trzymaj w pysku, durniu głupi, i uważaj na te diabły!

Diabły — czyli samochody, których bał się koń.

A dziadek zasypiając znowu mruczał:

— Wszystko przejdzie. Moda taka dziś, jutro inna, a com zbudował, to zostanie. Jeszcze wrócą do mnie, prosić będą, żebym woził końmi. Bo co koń, to koń.

W rynku Dubiel stawał przed Hawelką. Sklep to był znany w mieście, stary; kawą pachniał i świeżą skórką z pomarańczy. Nad półkami w poprzek ściany wielbłądy karawaną szły ku oazie z palm zielonych. W sklepie mrok był, tłok i krzyk:

„Prosz... uprzejmie... Służ... uprzejmie... Cał... rączki uprzejmie...” — a nad wejściem złoty napis HAWELKA na czarnym, szklanym tle. Sklep ten znałem, bom bliźniaczkom nieraz towarzyszył przy sprawunkach. Z dziadkiem do sklepu nigdy nie wchodziłem, bo on z karetki nie wysiadał. Dubiel tylko z kozła zląził, a dziadek niecierpliwie patrzył za nim, mrużąc:

— Guzdrze się<sup>21</sup>.

Za powrotem Dubiel krył pod płaszczem coś i przez okno panu wręczał:

— Zamknij oczy — mówił do mnie stary pan.

Mrużyłem powieki i słuchałem, jak strzela korek i płyn bulgocze w gardle dziadka. Pachniało potem tak w karetcie, jakby w kuchni, w dzień, kiedy się ciasto piecze. To był rum.

— Wio, jedziemy! — wołał dziadek głosem jasnym, odmłodzonym, laską stukał w podłogę karetki dywanikiem wyścielaną i śpiewał:

Miała baba koguta, koguta, koguta,  
Wsadziła go do buta, do buta — bęc!

---

Jak stary film przesuwa się miasto w wąskim oknie karetki, gdy je dziś wspominam: jakby snuł się dym ulicą albo jakby właśnie zmierzch zapadał. Czy to mgła, co ściele się w kotlinie, tak je mroczy, albo może szyba stara, zmatowiała, taki obraz mi oddała, czy to w końcu czas światło gasi, kolor zmywa? Widzę litery złote, na szkle malowane, gięte z drutu, z rurek szklanych, próbuję czytać, uciekają, zanim wyraz cały złożę: GŁOGO — MAURI — WEDEL — BANK HAN — BRACIA — SZARSKI — i nową piosnkę dziadek nuci:

Przy samowarze siedzi moja Ata  
A w samowarze Szarskiego herbata...

Godła aptek widzę: orzeł biały, w trójkącie oko promieniste, złoty lew i złoty słoń, i inne godła nad bramami: rak, trzy korony, dwaj Murzyni. Bramy dziwne: jedna w głowy ludzkie cała, druga w ćwieki, tutaj czarny nagi tors balkon trzyma, ówdzie rząd baranich głów. Szary mur, tynk odpada, spodem cegła jakby blizna stara, na tym plakat CYRK PRZY — reszta zdarta i kredą hasła gryzmołone PRECZ Z ONR ŻYDA BIJ.

Ludzi widzę — cały tłum — ale tylko głowy, czapki, kapelusze — tyle pomieściła klisza stara. Głowy widzę czarne, dęte, jakby jakieś bulwy krągłe, jakby dynie lub melony. Widzę głowy kwadratowe w krzyż przecięte srebrną nicią, głowy daszkiem lśniącym osłonięte, z promienną gwiazdką nad oczami i pisklęciem uskrzydłonym u szczytu rogatych czół. Głowy w skrzydła białe strojne i welony, głowy jak kokardy zwiewne, głowy w kwiatkach, dżetach, piórkach albo skryte w płaskim cieniu głowy-grzyby; głowy-brody: w kłębie włosów smutne oczy, smutny nos, a nad brodą toczek czarny z daszkiem krótkim, jakby ptasi czub.

Nagle kolor, światło, dźwięk — jakby biało-czarny film zamienił się w *technicolor of 20-th Century Fox*: chorągwie biało-czerwone z okien zwisają deszczem splukane, girlandy z lampek i choiny drżą na wietrze, orkiestry brzęczą wśród pochodni smolnych i po mokrym bruku chrzęści miarowy krok. Spośród dymów, złotych trąb, proporców, orłów, z okien wystawowych i balkonów, patrzy na mnie wzrok posepny starca, który zmarszczył brew i wydał wąs. Dłonie obie wsparł na szabli, jak na lasce dziadek mój, kiedy gniewa się lub duma. Twarz ta sama i gest ten sam, ten sam mars na czole i cień w zszarzałych oczach. Dziadek ze mną, tu, w karetcie, czkając rumem o wskrzeszeniu firmy śni, na baby mruczy, klnie stangreta — dziadek w światłach, w słońcu trąb, wśród grzmotu bębnow, z szabłą w dłoni lub buławą, w czapce z orłem, wstęgą błękitną przepasany stoi,

<sup>21</sup>guzdrać się — robić coś powoli, niezgrabnie. [przypis edytorski]

w fotelu siedzi, albo konno stąpa na tle chmur skłębionych, w złotych ramach i girlandach, jesiennym wiatrem kołysany. Dziadek tu i dziadek tam. Za rękaw ciągnę czarne palto.

— Hę?

— Święto jakieś, dziadku.

— U nas ciągle, panie, święto.

— Popatrz, wojsko idzie.

— Na paradę — niech se idzie.

— Popatrz, portret!

— Widzę. Stary już jest, tak jak ja.

— Czy on naprawdę wszystkim rządzi? Wojskiem, szkołą i koleją, pocztą, bankiem i policją, każdą rzeczą i każdym z nas?

— A bo co takiego? Cóż ci oczy tak latają, rączki drżą i głosik tak się łamie, jakbyś płakać chciał czy co?

— Nie wiem, dziadku. Jakiś urok na mnie rzuca jego wzrok ponury i jego wąs, i jego brew, i jego szabla, i buława, i jego koń, i mundur siwy... Może dlatego, że jestem sierotą, ojca nie znam, więc szukam jego wyobrażeń i miłość moją ofiaruję symbolom władzy i ojcostwa.

— Jakim symbolom, co ty pleciesz?

— Tak mi powiedział doktor Kraft.

— To babskie wychowanie, panie, ja z tym skończę.

— Ach, nie mów o nim źle, dziaduniu, on mnie rozumie. Powiedz jeszcze: to jemu wszystko zawdzięczamy?

— Komu znaczy?

— Dziadkowi, to jest marszałkowi, szefowi państwa, który królem byłby pewnie, gdyby się czasy nie zmieniły?

— Co mu zawdzięczamy, mówisz?

— Życie i wolność.

— Co za bzdury! Ach, to wychowanie bab i doktorów! Ja wiem dobrze, skąd to wszystko! To ten zeszyt czarny...

— Nie mam zeszytu, ach, dziaduniu!

— Wiem, że go pod poduszką chowasz. Ja go zabrać każę, spalę, bo wiem dobrze, czym to pachnie — tu głos załamał się starcowi. Czerwony z gniewu spuścił szybę i w głos wykrzyknął:

— Do domu wracaj! Mam dość tych, panie, trąb.

— Och — płakałem — wybacz, dziadku. — A skrycie pomyślałem: „Figę znajdziesz. Dobrze skryłem”.

Aż do samego domu dziadek na brzeżku ławki siedział z ręką na kłamce, na wpół ode mnie odwrócony, zły jak chrzan. Po rękawie go gładziłem i rączkami dwiema chciałem objąć:

— Dziaduniu, nie gniewaj się, zeszytu już nie ma, zginął gdzieś... podarłem... strzałki porobiłem z jego kart, obrazki zasmarowałem, zniszczyłem...

Nie odpowiadał ani twarzy nie odwrócił w moją stronę, główką laski w ścianę stuknął, a na to „wio” i „hep” krzyczał Dubiel, i świstał jego bat nad koniem, i głośniejsza trumna grała. Nie zdążył stangret dobrze zahamować przed domem, a dziadka furia zniosła precz — przez kafelkową sień prawie biegł z lagą do szturmu pochyłoną. W palcie, w melonie do pokoju mego wpadł, za nim ja, bliźniaczki za mną, jak zwykle jednakowe w czarnych spódnicach, w bluzkach w pasy. Dziadek lagą z łóżka zdjął kapkę muślinową jak kozuch z mleka i na podłogę rzucił, sapiąc.

— Co ojciec! — wrzasnęły ciotki. — Prane świeżo!

Za kapką w ślad poduszki poszły, kołdra, kocyk — do materaca musiał schylić się i oburącz dźwignąć pasiaty<sup>22</sup> płat. Przy tej robocie spurpurowiał i zaklął głośno, gdy drucianą siatkę zobaczył, na niej paprochów trochę i więcej nic.

— Gdzie to jest? — groźnie ryknął.

— Zasmarowany, stargany — bąkałem — do śmieci poszedł.

<sup>22</sup>pasiaty — dziś popr.: pasiasty. [przypis edytorski]

— Łżesz<sup>23</sup>!

— Ale co? Na Boga! — wołały ciotki, ręce łamiąc, a dziadek za piecem lagą gmerał, szafę grabił, zabawki moje rozrzucił i gniótl, żołnierzy moich lżył bezwstydnie i uniformom cześć odbierał.

Aż znalazł! Nie to, co chciał, lecz małą cząstkę, ślad, namiastkę: pocztówkę małą, w bladych kolorach, za szybkę serwantki wsuniętą ukradkiem, pocztówkę groszową, z której ku niemu spojrzal ponuro spod brwi ściągniętych jego sobowtór w siwym mundurze, na szabli wsparty. Portrecik zaraz w strzepy poszedł w dziadkowych palcach i gruby kalosz zdeptał szczątki.

— Co ojciec — krzyknęły ciotki, ręce łamiąc — wodza bezcześcisz i sam się narażasz! Niechby kto zobaczył... — story zaraz spuścily, ja udałem gorzki płacz, a dziadek jak przez lzy przemówił:

— Wodza gdzieś mam... Niech mi dziecko zwróci...

I z pokoju wyszedł, kaloszami człapiąc, pochylony. Bliźniaczki krótko zaszlochały, w dłoniach twarze ukrywszy.

---

Dubiela zastałem w stajni, kantar<sup>24</sup> czyścił, na kolanach go trzymając, jakby lirę.

— Dubielu — zawołałem — co to znaczą słowa dziadka: niech mi dziecko zwróci — on, wiesz kto...

Dubiel ramionami ruszył.

— Ja tam nie wiem — rzekł niechętnie.

— Musisz wiedzieć — zakrzyknąłem.

— Umrzeć muszę — odparł stróż — i o stajnię mieć staranie. Słuchać, co pan mówi, muszę, czasem wypić kieliszeczek, przespać się i na noc spuścić psy. Ot, co muszę.

— A ja muszę wiedzieć, skąd się na tym świecie wziąłem.

— Ty? Zwyczajnie — jako każdy z nas. Ktoś cię znalazł i odchuchał, nadał imię, ubrał, no i chodzisz.

— Ale kto? Kto mnie znalazł, a kto rzucił?

— Nie zwracaj, panicz, głowy.

— Powiedz: dziadek jakieś dziecko miał przede mną?

— Może miał, ja tam nie wiem.

— Syna? Córkę?

— Córka to on dosyć ma.

— Więc syna?

— Ja nic nie wiem.

— Ach, więc tak!

— Co?

— Syna miał.

— Może.

— I stracił?

— Skoro miał, a nie ma teraz...

— Uciekł? Zginął? Czy porwany?

— Kto by tam porywał dzieci!

— Więc uciekł?

— Wracaj do zabawek, młody panie. To nieładnie męczyć tak starego.

— Ile lat miał?

— Bo ja wiem... Siedemnasty rok mu szedł, gdy... Odejdź, dziecko.

— Gdy napisał: żegnajcie, starzy, idę za nim...

— Co? Jak napisał? Gdzie napisał? Skąd to wiesz?

— Wiem — wykrzyknąłem.

— To po co pytasz?

— Żebyś odpowiedział.

Dubiel zwiesił głowę.

Syn, Dziecko, Przywódca,  
Wojna, Żołnierz, Ojczyzna

---

<sup>23</sup>łżać — kłamać; mówić nieprawdę. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>kantar — uзда (pozbawiona wędzidla, skórzana uprzęż nakładana na pysk konia). [przypis edytorski]

— Kasztana najlepszego wziął ze stajni i poszedł za wąsatym wodzem — w bój, jak śpiewano wtedy... W boju padł — i skończona piosnka. Ej, ty Boże mocny — blaszkami końskiej liry brzęknął. — Pan do komendanta tego, co to rządzi nami dzisiaj, szedł o chłopca prosić. Samem wiół go do pałacu, gdzie kwaterą stał ten wódz, co wtedy bogiem był młodzieży. Panny, to ci mówię... ale co ty tam zrozumiesz! Widziałem go tak jak ciebie, bo go pan przed bramą dopadł, gdy wychodził. Taki sobie — człek nieduży, przygarbiony trochę, mundur na nim szary, zmięty, i bez gwiazdek, bez orderów. W naszym wojsku kapral lepszy wygląd miał. Myślę sobie: co w nim widzą? A tu koło niego tłok i krzyki: „niech nam żyje”, „komendancie, prowadź”... Głupi naród — myślę sobie — ale, czuję, coś się dzieje ze mną, gardło ściska, serce bije, jak wtedy, kiedym przed cesarzem spadł, albo pod tą górą, pod zamkową, kiedy koń mój — wiesz... A pan — twój dziadek znaczy — do człowieka tego przystępuje, nic nie zważa na te baby zwariowane i na adiutantów w sznurach... Dziecko — mówi — poszło, konia skradło, każ mu pan do domu wrócić, nie gub dzieci, na co to się zda — ta krew niewinna i rodziców lży... Plakał pan przed komendantem. Wojna — mówi — mocarstw, wojna świata, nie nasza, po co wleciesz pan tę garstkę na stracenie, sławę sobie pan budujesz z naszych strat... — Rzekł komendant: — Idź pan płakać gdzieś w ukryciu, jak dziadowie twoi, którzy nie skąpili synów krwi i własnych łez nie żalowali. Od lat, mówi, stu dwudziestu tak giną nasze dzieci, a dlatego pan i ja po polsku dzisiaj rozmawiamy, i dlatego na tę wojnę, którą toczy świat, syn pański za własną sprawę idzie, bliższą mu niż dom rodzinny. Szczęśliwy chłopiec — mówił jeszcze — lepszą częśćkę wybrał niż ci, co czekać będą, aż ich rozkaz obcy w okopy pogna w mundurze obcym, z obcą bronią. Ja wam daję (tu podniósł głos, bo już go cały słuchał tłum) sposobność własnej wojny, zwycięstwa lub przegranej własnej. Ludzki los wam zgotowałem, gdy ludy w bydło zamienione ślepo pod wojny nóż się kładą... — Tak do twojego dziadka mówił wódz, co go też dzisiaj dziadkiem zowią, bo jest już stary.

A pan bez pożegnania odszedł i w pościg ruszył za chłopakiem — ja z nim. Pojechali my na Jędrzejów, Kielce, Końskie, Łódź — szlakiem ułanów, między pruskie armie, bo ich tam zagnano. I nie znaleźli... Guldenami sypał pan na prawo, lewo, na pocztach pytał i w komendach. Spod Łodzi my wracali z wojskiem, bo się akurat odwrót zaczął. Jesień była. Błota takie, że po osie zapadały koła. Aż nam zabrali konie do taborów, a my furgonem, za trenami pociągnęli w nasze strony. Blisko domu, w jakimś mieście małym, w Wolbromiu chyba czy w Olkuszu, patrzymy: siwe czaka, burki z baraniami kołnierzami, orły z blachy. Ot, i nasi. Pytamy: nigdy taki nie był w szwadronie, nie znają, chyba imię zmienił, jak to w zwyczaju wtedy było w tym wojsku, do którego każdy skądciś zbiegł. Imię — mówią — zmienił. Więc gdzie jest? Mógł, powiadają, zginąć. Nad Nidą, mówią, były jatki, nawet taki jeden młody, jakże mu było? Kmicic? Grom? Sokół czy Sęp, czy inny ptak? Szrapnelowy zegar głowę mu zdjął, gdy w bagnie chłopcu koń ugrzęznął...

Zagrała trąbka do wsiadania, zadzwonił bruk pod kopytami, a my zostali... Plakał pan, jak dziecko dał się poprowadzić, do domu wrócił jakby chory. W gniew nagły wpadł: palić kazał pamiętki wszystkie po paniczu Bolku. — Nie miałem — mówi — syna, nigdy nie żył, nie dała Panna czysta syna... Plakał i palił książki, papiery i ubrania... Piękny był chłopak, głowę miał złotą... Ech...

Wierzchem dłoni przetrął oczy i dokończył:

— Idź, paniczu, do swoich zabawek. Nie powiadaj nikomu, że ci mówił. To niedawno było — lat temu tyle prawie, ile ty ich teraz masz.

Umilkł. Tupwały konie, obrok chrupiąc, pachniała stajnia amoniakiem, sianem i skórą. Na dworze zapadł listopadowy, wczesny zmierzch, za murem policyjnych koszar zagrała trąbka. Do domu szedłem, postać nową witając w państwie mojej wyobraźni: wuja młodego z głową ściętą, którego miejsce w świecie żywych ja zająłem — czyj naprawdę syn? Czyjej miłości dziedzic prawy?

W domu spokój. Łódzeczko moje ciotki zasłały, rozprostowały kapkę zmiętą, żołnierze na swych półkach stali zastygli w marszu, w biegu, w cwale; panczerze, czaka i rynsztunki na swoich miejscach. Cisza, ciemno, w swej kancelarii dziadek śpi i o klientach śni.

W ściennym zegarze nieruchomym mój schówek miałem. Między wagami opadłymi tkwił zeszyt w czarną tekturę oprawiony, z czerwonym kartek brzegiem. Poznają teraz pismo drobne — poznają dłoń, która wklejała pocztówki kolorowe, ramki wokół kreśląc czerwone albo czarne — na radość lub żalobę. Poznają starą ortografię sprzed ćwierci wieku, dzieje serca odczytuję z tych kart, które zapisywał trochę ode mnie starszy chłopiec. Ileż razy ten zeszyt oglądałem nocą w latarki elektrycznej świetle, gdy nie mógł albo nie chciał spać!...

Jest jakiś czar szczególnie w historii, gdy się ją ujmie w zwięzły schemat, jak to uczynił ten chłopak, zanim nad Nidą w błotach padł. Jest to może czar uproszczenia, może dziecinny tryumf nad zawiloscią rozwiklaną; radość taka, jaką sprawia małemu majsterkowi klucz przypadkowo przymierzony do drzwi zamkniętych — choćby donikąd prowadziły, aż dech zapiera, kiedy zamek zgrzytnie i skrzydło nieruchome drgnie, dostęp do strychu otwierając, składu rupieci, albo przejście tajemne w wysokim murze czy parkanie.

Ślusarka taka równie wdzięczna jest w sprawach ducha. Są wśród chłopców wielcy lingwiści, reformujący gramatykę, są prawnicy, którzy składają konstytucje państw tylko w tym celu utworzonych, teolodzy, którzy w zdaniach paru demaskują sekrety nieba, wynalazcy, z których każdy rozpoczyna od wzoru na nieskończony ruch, oraz bezwzględni urbaniści, którzy ogromne miasta w trzy dni burzą i we trzy stawiają potem w kształtach gwiazd, kół lub kwadratów; są dyktatorzy, którzy ludy całe przenoszą z jednego krańca świata w drugi, topią lodowce, zmieniają biegi rzek i morskich prądów, bogaczom biorą, biednym dają, opornych wyganiają precz — a srogi jest ich gniew, bo „wyciąć w pień” zbuntowane miasto, albo lud oporny w jasyr pognać to dla nich tyle, co muchę zgnieść palcami lub dropsa miętowego zgryźć. Ani czas, ani materia oporu im nie stawia wcale, bo chłopcy w rachuby ich nie biorą, gdy układają swoje plany. Świat w planach chłopców jak drut cynowy gnie się, łamie — i ku zniszczeniu biegnie pierwsza człowiecza myśl, zanim pozna miłość, a z nią sekret klęsk.

Chłopak w zeszycie opowiadał historię kraju. O tym, jak wzrastał, jak sąsiednie ziemie zgarniał i scalał, wygrywał wojny, królów i królowe dawał krajom innym. Aż osłabł, upadł, zniknął wreszcie — przykład jedyny w nowych czasach politycznego kidnaperstwa. Mówią jedni, że nadmiar go wolności zgubił, którą rozszerzał wraz z granicą, zamiast — wzorem innych państw — ciśnieniu zewnętrznemu wewnętrzny odpowiednik stworzyć (rzecz to znana, że państwo duże sroższym dla swoich jest więzieniem niżeli małe, a naj-sroższym takie, co słabym będąc siłą nabiera). Inni mówią, że na odwrót, wolności mało było tutaj, bo jej dla wszystkich nie starczyło: od jej nadmiaru mniejszość spuchła, reszta zmarniała od jej braku, skamieniała i na dno całość pociągnęła. Anarchia — mówią — kraj zgubiła, bo król był tutaj najmniej wolny. Kłamstwo — odpowiadają drudzy — i potwarz nawet, bo naród pragnął władzy, prawa i ładu, lecz mądrych królów mu zabrakło i mężów stanu; dowód w tym, że gdy się taki zjawił przecie — posłuch znajdował i tłuszczę wnet przemieniał w rozumny i posłuszny lud. Spisek mocarstw młodych klęskę sprowadził na mocarstwo stare — nowe metody walki i rządzenia wzięły górę nad przestarzałą republiką, czy też — na odwrót — odmłodzoną w ostatnich latach swego życia, zjednoczoną na hasło z jakobińskich klubów, z ulic Paryża, z pól pod Valmy, z bezwładu przebudzoną nadejściem myśli nowej, groźnej dla despotycznych tronów, myśli, która z nierządnego ludu czyniła naród nowoczesny — młodą zatem, rewolucyjną republikę kładły do grobu siły stare, by na wiek cały odwlec klęskę własną — tak niektórzy sądzą. Lecz nic pewnego: może to prawo dziejów i wszelkiej działalności prawo, które żyć długo nie pozwala ustrojom i cywilizacjom, linię wzrastania załamało i sprowadziło do upadku — prawo przyrodzone wszelkiej energii, która w skupieniu jednym czas określony pozostaje, by ulec wkrótce rozproszonemu i skupić się na nowo w układzie innym... A może los, który tylko raz się spełnia w jednym istnieniu poszczególnym — a może Bóg, który do ludu swego mówi językiem przypowieści, swoich wyroków sekret zwierzył w historii kraju wybranego — czy wreszcie cykl kosmiczny odejścia i powrotu wypełnił się w naocznych dziejach, wcielając w polityczną formę mit uwiedzionej Prozerpiny? Pytań tyle i odpowiedzi w polskiej sprawie, ile polityk, filozofii religii, mistyk, literatur, ile myśli, uniesień oraz aberracji urodził dziewiętnasty wiek, a następnemu w spadku zlecił

sprawę rozstrzygnąć. Pisali o tym Russo<sup>25</sup>, Mably<sup>26</sup>, Fichte<sup>27</sup> i Engels<sup>28</sup>, poeta Hugo<sup>29</sup>, heretyk Lamennais<sup>30</sup>, Rosjanin Hercen<sup>31</sup>, Włoch Mazzini<sup>32</sup>, pisali Spengler<sup>33</sup> oraz Toynbee<sup>34</sup> (między wierszami), Mircea Eliade<sup>35</sup> (aluzyjnie), nie licząc już krajowych piór od Joachima Lelewela<sup>36</sup> aż do Pawła Jasienicy<sup>37</sup>.

Chłopiec — wuj stracony gdzieś nad Nidą — w obrazkach sprawę tę rozstrzygał; zbawiał ojczyznę na papierze, zanim ją poszedł zbawiać głową. Patriotyczne zbierał reprodukcje i do zeszytu swego wklejał w ścisłym porządku chronologii. Pstrymi farbkami kreślił mapki wzrastania i rozpadu państwa; skomplikowany system linii, kresek i kropek, barw i strzałek utrwał zmiany granic, ruchy wojsk; barwne winiety, wykrzykniki, cyfry, sztandary, emblematy, godła i herby, szable i armatnie lufy skrzyżowane nad kopczykami kul, helmy i czaka, trupie czaszki, tworzyły szyfr — magiczny wzór, w którym chłopiec ukrył sekret wolności, trwania i potęgi. Jak wszyscy jego rówieśnicy we wszyst-

<sup>25</sup>Russo, właśc. *Rousseau, Jean Jacques* (1712–1778) — pisarz francuskojęzyczny z Genewy, filozof, wybitny przedstawiciel oświecenia, encyklopedysta; postulował powrót do natury, odrzucał zdobycze cywilizacji, w tym pojęcie własności prywatnej; swój model człowieka idealnego, dobrego, wychowywanego w naturze przedstawił w dziele z 1762: *Emil, czyli o wychowaniu*; w innym dziele, pt. *Umowa społeczna* zawarł poglądy na demokratyczną wizję państwa, będącą fundamentem współczesnej myśli politycznej. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>Mably, *Gabriel Bonnot de* (1709–1785) — fr. filozof i polityk; brat filozofa Étienne de Condillaca, autor m.in. dzieła o rządach i prawie w Polsce (*Du gouvernement et des lois en Pologne*, 1781); pisał prace historyczno-polityczne o staroż. Grecji, Rzymie i współczesnej Francji oraz Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>Fichte, *Johann Gottlieb* (1762–1814) — niem. filozof idealistyczny, krytyczny następca myśli Kanta, twórca teorii wiedzy oraz nowego typu idealizmu subiektywnego, tzw. filozofii czynu. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Engels, *Friedrich* (1820–1895) — filozof i socjolog niem., ideolog socjalizmu, współpracownik Carla Marksa, jeden z twórców i przywódców zarówno I, jak i II Międzynarodówki, autor pojęcia *materializmu dialektycznego*; napisał m.in. traktat *Święta rodzina, czyli krytyka krytycznej krytyki* (1844; z Marksem), *Położenie klasy robotniczej w Anglii (Die Lage der arbeitenden Klasse in England*, 1845), *Manifest komunistyczny (Manifest der kommunistischen Partei*, 1848; z Marksem). [przypis edytorski]

<sup>29</sup>Hugo, *Victor Marie* (1802–1885) — pisarz i polityk, czołowy przedstawiciel romantyzmu fr., członek Akademii Francuskiej; tworzył powieści (m.in. *Katedra Marii Panny, Nędznicy*), poezję, dramaty (*Cromwell, Hernani*) oraz pisma polityczne. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Lamennais, *Félicité Robert de* (1782–1854) — pisarz i ideolog fr., początkowo zwolennik ultramontanizmu, później propagatorem odnowy kościoła; w 1841 r zerwał z kościołem katolickim; autor książki *Słowa wieszczę*. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Hercen, *Aleksandr Iwanowicz* (1812–1870) — pisarz ros., myśliciel i działacz społeczno-polityczny, którego poglądy miały wpływ na ideologię ros. organizacji „Ziemia i Wola”, stworzył doktrynę *socjalizmu rosyjskiego*, który miał powstać z pominięciem fazy kapitalizmu; współpracował z Towarzystwem Demokratycznym Polskim na emigracji, gorąco popierał ruch rewolucyjny okresu Wiosny Ludów 1848–1849, a także powstanie styczniowe w Polsce (co spowodowało upadek wydawanego przez niego czasopisma „Kołokol”, ponieważ członkowie emigracji ros. masowo wycofali się z abonamentu), autor książki autobiograficzno-wspomnieniowej *Rzeczy minione i rozmyślenia* (1852–1868), stanowiącej zarazem zarys życia ideowego Rosji i Europy za jego życia. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Mazzini, *Giuseppe* (1805–1872) — włoski rewolucjonista, przywódca demokratyczno-republikańskiego nurtu *risorgimento*, walczył o wolność w antyaustriackiej partyzantce razem z Garibaldiem, założył organizację Młode Włochy (1831) i Młoda Europa (1834), należał do masonerii. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>Spengler, *Oswald Arnold Gottfried* (1880–1936) — niem. filozof kultury i historii; autor publikacji: *Zmierzch zachodu (Der Untergang des Abendlandes. Umriss einer Morphologie der Weltgeschichte*, 1922), *Państwo. Problem klas społecznych, państwa i historii filozofii politycznej (Der Staat. Das Problem der Stände, Staat und Geschichte Philosophie der Politik*, 1924), *Człowiek i technika. Filozofia życia (Der Mensch und die Technik. Beitrag zu einer Philosophie des Lebens*, 1931) i in. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>Toynbee, *Arnold Joseph* (1889–1975) — ang. historyk, autor *Studium historii (A Study of History*, 12 tomów, wyd. w l. 1934–1961); klasyk dwudziestowiecznej historiozofii, jeden z najważniejszych teoretyków cywilizacji; profesor historii międzynarodowej. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>Eliade, *Mircea* (1907–1986) — rumuński historyk religii, religioznawca, indolog, filozof kultury, eseista, pisarz i dyplomata; autor m.in.: *Traktatu o historii religii (Traité d'histoire des religions*, 1949), *Obrazy i symbole. Szkice o symbolizmie magiczno-religijnym (Images et symboles. Essais sur le symbolisme magico-religieux*, 1952), *Sacrum i profanum. O istocie religijności (Le Sacré et le Profane*, 1956), *Inicjacja, obrzędy, stowarzyszenia tajemne. Narodziny mistyczne (Initiation, rites, sociétés secrètes*, 1959), *Historia wierzeń i idei religijnych (Histoire des croyances et des idées religieuses*, t. I–III, wyd. 1976–1983) oraz wielu publikacji na temat jogi. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>Lelewel, *Joachim* (1786–1861) — historyk i polityk polski; wykładowca Akademii Wileńskiej, założyciel „Tygodnika Wileńskiego” (1815), członek Towarzystwa Królewskiego Przyjaciół Nauk w Warszawie (od 1829), zasiadał w kierowanej przez Adama Czartoryskiego Radzie Administracyjnej w powstaniu listopadowym (1830–1831), członek Rządu Narodowego Królestwa Polskiego, prezes Towarzystwa Patriotycznego, radykalnego odłamu obozu powstańczego; od 1831 r. działacz emigracyjny, numizmatyk. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>Jasienica, *Paweł*; właśc. *Leon Lech Beynar* (1909–1970) — historyk polski, eseista, publicysta „Tygodnika Powszechnego”; autor m.in. *Myśli o dawnej Polsce* (1960) oraz cyklu esejów historycznych: *Polska Piastów* (1960), *Polska Jagiellonów* (1963), *Rzeczpospolita Obojga Narodów* (1967–1972). [przypis edytorski]



kich krajach, wszystkich czasach niemożliwej rzeczy chciał dokonać prostym sposobem. Ojczyzna była mu Alchemią, stopionym lodem dwóch biegunów, Saharą w żyzny przemienioną łąd, *perpetuum mobile* i Atlantydą odszukaną, prawem przeciwko ciał spadaniu i lotem na Srebrny Glob — snem była jego o wszechmocy, kształtem miłości niedojrzałym.

Taką formą marzenia natchnął chłopca czasu duch (przenośnią mowę) czy duch narodu (wciąż przenośnia), co w przededniu wojny wielkiej, niespokojny, ofiar szukał jak głodny sęp czy orzeł, o którym babka śniła: z teatru gadał wierszem ciemnym, symbolem mętnym i patosem, i nastrój adwentowy szerzył czekania oraz gotowości do czynów jakichś, ofiar, misji...

W obrazkach mistrzów Akademii błyskał (onże duch ciągle) luną złotą nad głową barda, który straszliwą przyszłość wieszczy, wstrzymując dłonią widma jakieś, co przed nim stają, czy też widzowi broniąc właśnie patrzeć na siebie... Albo blaskiem nadziemskim bił z twarzy kaznodziei, gdy ten królowi drzemiacemu, hetmanom, posłom i biskupom rokował zgubę... Albo w szlachcicu obłąkanym ów duch promienie swoje utkwiał — w szlachcicu, który kiedyś w progu poselskiej izby legł, koszule drąc i blizny drapiąc, aby o kwadrans odwlec ratyfikację aktu, co Polskę żywcem miał pogrzebać... A królewski błazen w czapce z dzwonkami, który w chaosie barw i faktur, w figur i detali gęstwie przeczącej prawom kompozycji, błazen myślący, co w królewskiej (i malarskiej) pompie czyta tragedii zarys pierwszy i pokoleniom przekazuje misję wesółka i Kasandry... A chłop, co czapką działo zatkał i „wiwat” woła na cześć wodza... I wódz... Sto wersji wodza: w żupanie, w zbroi i w koronie, w chłopskiej sukmanie i w czamarze, w studenckim fraczku i w surducie belfra z prowincji, w czaku z kitą — na czele wojska, w parlamencie, w klubie spiskowców, w tiumnie<sup>38</sup>, w szkole, z szablą, buławą czy szpicrutą, z wierszem, co bluźni albo szydzi, albo prorocstwa na wiatr rzuca — w tłumie lub sam, wobec narodu, ludu, Boga — hetman, porucznik, podchorąży, uczeń, parobek wiejski — każdy wreszcie może i musi królowę śpiącą ze snu zbudzić, przywrócić córkę Demetrze<sup>39</sup>, pieśnią lub siłą wyprowadzić zbłąkaną w pieklach Eurydykę<sup>40</sup>. Każdy, więc i on, karawanów i karetek dziedzic, a także realności<sup>41</sup>, parcel i walorów<sup>42</sup> Austro-Węgierskiego Banku, potomek drobnej burżuazji — klasy bez dziejów i bez jutra, klasy sieroczej, przeto smutnej.

W czarnym zeszytce układał wojny plan i mitologię, zanim w tej pracy go zastąpił przybyły z Litwy człowiek boży z krzaczastą brwią i dużym wąsem. (Mówią, że z Litwy szedł piechotą czy też furmanką chłopską jechał sam za woźnicę przedzierzgnięty; mówią, że obraz wiozł pod słomą Panny Najświętszej z Ostrej Bramy i tym obrazem jakby gładem otwierał sobie wrota domów, szlabany granic i polityczny kredyt rządów; mówią, że cuda jakieś działał, mocą swą własną czy obrazu — a na kobiety działał pono, tak że od zmysłów odchodziły albo wracały do nich, jeśli je przedtem już straciły; mówią, że prorocstw starych słowa spełniał ten człowiek tak dokładnie, iż każdy musiał weń uwierzyć — i socjaliści go prosili, by im na głowy dłonie kładł — taka jest siła starych słów i mitów, zwłaszcza gdy ciemne a krzepiące...) Ten wódz nowy, prócz poezji i obrazów, odgadnąć umiał koniunkturę i polski temat romantyczny w właściwej chwili przetłumaczył na język bliższy nowym czasom: z ideą insurekcji w głowach szli za nim chłopcy na dywersję przeciw wrogowi w służbie wroga. Niektórzy jak on głowy potracili — inni serca. Potem powstała Polska — niespodzianie, z koniunktur zmiennych — i niespodzianie przybysz z Litwy, dowódca kilku batalionów, wodzem narodu został, wcieleniem nowym mitów starych, i na dzieciństwo moje padł jego wzrok spod brwi, i dramat jego, którym czytał z zeszytu chłopca straconego — mojego wuja, brata, ojca; portretem wodza zamknął swój zeszyt — jego spojrzenie ciemne było końcowym amen w tym brewiarzu małego zbawcy, a pod tą fotografią, jakby dymem burym zasnutą, widniał napis czerwoną kredką

Przywódca, Dziecko, Syn,  
Mężczyzna, Idealista

<sup>38</sup>tiumna (z ros.) — więzienie. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>córka Demeter (mit. gr.) — Kora a. Persefona, córka bogini urodzaju, Demeter, podstępem poślubiona przez boga podziemi, Hadesa. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>Eurydyka (mit. gr.) — ukochana żona Orfeusza, wielkiego poety i śpiewaka, który po śmierci żony poszedł po nią do krainy umarłych. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>realność — tu: nieruchomości; własność w postaci budynków itp. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>walory (daw.) — tu: papiery wartościowe emitowane przez banki. [przypis edytorski]

podkreślony: „Żegnajcie, starzy, idę za nim!”

Kto ten zeszyt przechował, gdy pamiątki wszystkie po chłopcu pozostałe poszły w piec na rozkaz dziadka? (Innym razem Dubiel stary trochę inaczej mi wyjaśnił przyczynę tego *auto da fe*<sup>43</sup>, które zarządził dziadek na ułanie z pułku Beliny: wszak rosyjska armia zbliżała się do fortów, co broniły miasta naznaczonego czarną gwiazdą — w domu pod Panną szyby drżały, czulsze od najczulszego ucha na podniebny łopot armat — armia nie uznawała chłopców komendanta za prawem ochronione wojsko, lecz za bandytów; więc dziadek względy bezpieczeństwa złączył z goryczą, kiedy ubrania oraz książki do pieca rzucał, krzycząc, że syna Panna mu nie dała...) Kto ten zeszyt przechował? Kto go tam skrył na dnie zegara, na lata całe, aż spadł, gdy zegar ruszył ktoś przy porządkach generalnych właśnie w chwili, kiedy ja wałęsałem się w pobliżu, w śmieciach grzebiąc jak głodny kot? Kto przekazał to posłanie mnie — sierocie? I po co? Czego żąda?

---

Do spotkań rodzinnych rzadko dochodziło, chociaż wspólny dach wszystkich łączył. Dziadek nie znosił córek i wnuczek za to, że były kobietami, a szwagrów pewnie za to, że do rodziny weszli z przyczyny kobiet. Czasem jednak wzbudzał w sobie uczucia czy też powinności ojca i wołał głośno:

— Gdzie ta czereda, panie, cała? Co to: wymarli, czy się gdzie wynieśli? Sprowadzić mi tu wszystkich zaraz! Rodzina musi w kupie siedzieć, bo na to budowałem dom.

Schodziły wtedy z górnych pięter ciotki z córkami z buzią w ciup, a z nimi wujowie — sztywni, jakby się kijów nalykali. Wokoło stołu zasiadano herbatę pić i o pogodzie gadać, zdrowiu albo czasach niespokojnych. W pogodne lato miejscem sesji był ogródek za domem — wirydarz niewielki, żywopłotem z bzów i jaśminów oraz siatką z drutu odgradzony od gospodarstwa. Pośrodku trawnik równo jak dywan przystrzyżony, wokół ścieżka i rząd irysów brzegiem ścieżki. Trzcinowe fotele ustawiano na murawie, dziadek w środku siadał, w melonie na głowie, w palcie z lodenu zielonego, owinięty kaszmirowym szalem w turecki wzór; na lasce obie dłonie wspierał i spod ściągniętych brwi patrzył w furtkę, jakby czekał, aż przyjdzie stamtąd ktoś prawdziwie ukochany i swoje miejsce zajmie w kręgu. Ogrodowe wieczory jeszcze bardziej były milczące od tych, które w jadalni odprowadzano. Trzeszczała trzcina, gdy się kto poruszył, i czasem słowo jakieś padło o chłodzie albo cieple dnia, co odchodził. Ja na małym krzeselku u stóp dziadka siadywałem, w ciepłe kocyki owinięty i zawsze to uczucie miałem, żeśmy się zesзли coś rozstrzygnąć lub postanowić w mojej sprawie.

Aż raz — pamiętam — w taki wieczór, właśnie w ogródku... któryś z wujów kaszlnął i rzekł:

— Na mieście mówią, słyszał ojciec?... o jakimś nowym zarządzeniu w sprawie pogrzebów.

— Że hę?

— Zakaz, mówią, odprowadzania zwłok na cmentarz będzie wydany.

— Jak? — dziadek zwrócił powoli głowę w stronę zięcia.

— Mówię, com słyszał.

— To znaczy — dziadek rzekł — umierać już nie będzie wolno?

— Ha, ha — nieszczerzy śmiech wybuchnął i zgasł.

— Głupstwa gadasz — dokończył dziadek i łaskawie dodał: — moje dziecko.

— Nie! — podjął wuj nieustraszony. — Zwłoki mają być z domu odwożone prosto na cmentarz, tak by uwagi nie zwracały.

— Bez orszaku — wtrąciła odpowiednia ciotka, wspierając wuja.

— Ale czym? — podniósł głos właściciel firmy, która z żalobnej ostentacji czerpała główne swe dochody. — Tramwajem? Taczka czy hyclowską budą?

— W zarządzeniu o tym nie mówią — trochę strapiiony rzekł dyskutant, lecz wtedy drugi z zięciów zabrał głos:

---

<sup>43</sup>*auto da fe* (z port.: akt wiary) — końcowy etap procesu inkwizycyjnego, polegający na publicznym potwierdzeniu lub odrzuceniu przez oskarżonego religii katolickiej przed wykonaniem wyroku (wyrok był niezależny od treści deklaracji, choć jej wymagano); także: publiczne wykonanie wyroku śmierci na heretyku przez spalenie na stosie. [przypis edytorski]

— Przepraszam, niecisła informacja. Zarządzenie to ogólnej jest natury — tyczy zebrania, pochodu oraz demonstracji, na które trzeba zezwolenia władz. Otóż pogrzeby wyłączone były z zakazu. Tę klauzulę wyjątkową władza dziś znosi, *ergo*, aby pogrzeb odprawić wedle obyczaju dawnego, z domu żałoby, ulicami, jak dotąd było, konieczne będzie zezwolenie.

— No to co? — warknął dziadek.

— Uważam — odparł pierwszy wuj — że to jest zmiana...

— Istotna — wtrącił drugi.

— Obyczaju — pierwszy rozwinął zręcznie temat.

— Oraz naszej, że się tak wyrażę, roli — drugi postawił kropkę nad i.

— Wszystko się zmieni — wykrzyknęła opozycyjna ciotka pierwsza, wsparta przez drugą.

— Zakład wszelki sens utraci.

A potem wujowie uderzyli frontem:

— Zakład CONCORDIA (konkurencja) kupuje auta pogrzebowe!

— PARADIS za CONCORDIĄ idzie w ślad; już konie sprzedał, karawan pójdzie do lamusa.

— Do ślubów młodzież nie chce karet, autami jeździ elegancki świat.

— Ojczy, pomyśl i pojmij ducha nowych czasów.

— O przyszłość zadbaj dzieci, wnuków.

— Konie nas zjedzą i furmani — sprzedaj to wszystko póki czas...

— I zakład przestaw na motory...

— Taksówki...

— Szybki transport zwłok...

— Spedycję...

— Albo autobusową linię własną stwórz — komunikację miejską wesprzyj.

— Jaka zasługa!

— I interes.

Ucichli, bo wciąż milczał stary.

— Powiedz coś, ojczy — szepnęła któraś z ciotek starszych, bliźniaczki sięgnęły do rękawów po chustki, które miały w pogotowiu, papierośnice w rękach wujów wydały suchy trzask, ogniki zapalniczek błysły i pierwszy gacek nad głowami rozpoczął nocny rajd.

— Nie zmienię nic, póki żyję — spokojnie odparł szef rodziny.

— Lecz umrzesz kiedyś — palnął jeden z wujów, nad miarę, widać, podniecony.

— Gdy umrę — dziadek głos podniósł i jak bicz nad głowami nam go zwiesił — zakład weźmie ten, kto zachowa wszystko tak, jak było. Gdyby co zmienił, prawo straci.

— Ojczy bredzi! Takiej formuły prawnej nie ma.

— Nie ma formuły? A to będzie! A jeśli nie...

— To co?

Dziadek zarzęził coś chrapliwie, lagę podniósł i jakby z flinty do mnie zmierzył jej końcem gumą osłonionym.

— To on dziedzicem będzie — wnuk!

Cisza zapadła, jakby wszystkim płachtę kto z góry zrzucił na łby. Skromną zrobiłem minę i pomyślałem:

„Ja wam dam”.

A wtedy ciotka — nie wiem która — wydała okrzyk przeraźliwy zemsty, szaleństwa i rozpacz — jakby kapłanka bóstwa zelźonego — zasłony losu zdarła nagle i uderzyła w dzwon tragedii:

— Wnuk! — Co dziadka swego ma za ojca!

Gacki nad nami skrzyżowały swe szybkie loty, jak myśli czarne, niespokojne; za murem trębacz niewidzialny zagrał fanfarę. Rodzina grzebała się niemrawo, jak ryby w sieci. Pierwsze zerwały się bliźniaczki i do domu pomknęły, łkając w chustki. Za nimi reszta: ciotki z pięter, kuzynki — milczkiem bez chichotów, i wujowie odwrót zamknęły, wlokąc za sobą smugę dymu. My dwaj siedzieli nieruchomi jak dwaj widzowie, co zostali w teatrze po skończeniu sztuki — czekają na następny akt, gdy już pokrowcami służba osłania krzesła. A wtedy w furcie Dubiel stanął:

— Dziesiąta, panie. Psy spuszczał będę, do domu trzeba panom wracać.  
I odparł dziadek:  
— Ano trza, Dubielu. Chodź, moje dziecko.

---

Bliźniaczki krzykiem i groźbą do snu chłopca gnały, jak owcę do zagrody; naraz dziadek zjawił się w dzieciennym pokoju i cicho, jak na niego, rzekł:

— Zostawcie... ja go uśpię.

Opuścił siatkę i na brzegu łóżka usiadł w burym szlafroku, z kołnierzem w górę postawionym, jak szyldwach, co obozu strzeże w wietrzną noc. Przez chwilę milczał, potem dłonią policzków moich szukał i jej grzbiet chłodnawy przytknął do skóry rozpalonej.

— Dobrze tak? — spytał.

— Dobrze, dziadku.

Nie pytał o nic; ani o to, com w dzień robił, czegom się uczył, jak się bawił, czy się cieszył czymś ostatnio, czy też do smutku mam powody; nie pytał o to, czym jest zdrowy, czy wszystko mam, czego do szczęścia mi potrzeba. Nie pytał o nic, nigdy, i teraz pytań nie zadawał, ale czekał — czekał chyba, aż ja pytanie mu postawię. Tak pomyślałem, więc spytałem:

— Dziadku... to prawda?

— Słucham, dziecko.

— Prawda, że do sierot pójde, jeśli nie zasnę?

Naprzeciw naszych okien był dom zwany schroniskiem — piętro miał jedno, wejście z boku jak do klasztoru, z ręcznym dzwonkiem. Nad wejściem, w niszy półokrągłej, stał Józef — święty mąż Panny, z Dzieckiem w ręku i kamienną lilią jak szablą u ramienia. Mąż w sukni długiej, z brodą, kędzierzawy, w okna naszego domu patrzył, nieco w górę, ku niszy, w której Panna stała, węża depcząca. Uśmiechy skryte skrzyżowali nad siecią tramwajowych drutów — uśmiechy tak podobne, jakby bratem byli i siostrą; tę samą rękę każdy pozna w rysunku figur — i w fasadzie domku styl podobny. (Podobieństwa te łatwo wytłumaczyć tym, że zakład równocześnie powstał wraz z domem pod Panną: z tej samej pracowni pochodził projekt i z kasy tej samej fundusz oddany księżom na sieroty — z dziadkowej kasy dobroczynnej — gdy wotum na intencję syna ślubował Pannie i Mężowi.)

Przy schronisku były ogrody. Z naszych okien, choć parterowe, widać było grządki i szklarnie, i białych chłopców w szarych kitlach, co doglądali kwiatów, warzyw, dźwigały kosze, wodę lali z olbrzymich konwi i kompost rozrzucali z ręcznych wózków, które ciągnęli sami, jak koniki. — Zamykać okna — kompost wożą — krzyczano u nas, kiedy mdłym zapachem powiał z przeciwka wiatr zachodni. — Jeżeli będziesz nieposłuszny, nie zechcesz jeść, pacierza jak trzeba nie odmówisz albo nie zaśniesz przed Dubiela gwizdkiem, pójdziesz do sierot (do sierót — wymawiały ciotki) — do józefitów oddamy cię, gdzie w pocie czoła kompost wozić będziesz. — Jedzenie odtąd w gardle mi stawało, jakiś smak wstrętny czułem w mleku, w kaszy, w szpinaku i w marchewce — gorycz jakąś i lepkość — przedsmak kary. Pacierzem uroczyście klepał<sup>44</sup> głośno i długo, zwłaszcza ostatnie *Zdrowaś Maryja*, które kazano mówić za sieroty. Gwizdków Dubiela słuchałem jak wyroku. Gdy dziesiąta biła, już sierocęj doli w twarz spoglądałem jakby katu. Sieroctwo bowiem, zgodnie z groźbą bliźniaczych pedagogów, za karę uważałem, grzech — kto wie czy nie pierworodny właśnie. I poty były na mnie ciepłe, kiedym słyszał za drzwiami lekkie kroki sędziów w szlafrokach jednakowych, w kwiaty i ptaki haftowanych na czarnym tle. Zaraz znad siatki wyjrzą dwie głowy w koronach z żelaznych rurek, w których panny składały loki, i głosy cienkie krzykną razem:

— Do sierót pójdziesz, a tam spać nauczą cię jak należy!

— Nieprawda — dziadek rzekł, policzki moje lekko gładząc — nie pójdziesz nigdzie. Głupie baby.

— A prawda, że mnie stamtąd wzięto, że mamy nie mam, a tyś sam jest moim ojcem przy... jak?

— Sposobionym — dokończył dziadek i dodał zaraz: — Też nieprawda. Kto ci mówił?

---

<sup>44</sup>pacierzem (...) klepał (daw.) — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: klepałem pacierze. [przypis edytorski]

— Dubiel, dziadku.

— Dubiel pijak jest i łgarz. Co ci powiedział?

— Żem sierotą przygarniętym przez litość czy z wielkiego żalu po stracie prawdziwego syna, gdy dziadek z bólu rozum stracił. A mówił także innym razem, że mama wcale nie umarła, ale w zamknięciu jakimś żyje za karę, chora czy ze wstydu. A prawda to, że Bolko, wuj, nie zginął wcale, ale w niewolę wzięty błądzi po świecie — zbuntował się czy rozum stracił — i stąd ta złość, z jaką dziadek pamiątki po nim spalić kazał i syna przybrał w jego miejsce, tamtemu na złość i rodzinie? A prawda jeszcze to, że ja, syn przybrany, z pozoru tylko jest sierotą od Józefitów z naprzeciwka do domu dziadkowego wziętą, a naprawdę jestem synem dziadka z innej babki — lewej, mówią, i że babkę prawą, na wieść o tym przez sieroty mściwe doniesioną, szlag z gniewu trafił, czy też, jak kiedy indziej mówił ten stary łgarz, zażyła coś i tak ze świata cicho zesła? A jeśli wszystko to nieprawda, to kto jest ojcem, a kto mamą, bo inaczej na świat nikt nie przyjdzie, jak tylko z woli dwojga osób przeciwnej płci? Czy to prawda?

— Co?

— Że ludzie tak się rodzą prawie jak koty, konie i króliki — z takich rzeczy, z których w głos śmieją się furmani? A mnie mówili kiedyś przecie, że mnie ptak przyniósł — sęp czy orzeł — we śnie, mówili, i w modlitwie. I ja bym, proszę dziadka, wolał, bo to prostsze, niż dwie osoby z tłumu dobrać, na które mógłbym palcem wskazać i bez obawy krzyknąć: mamo, tato. Dlaczego tyle tajemnicy, dlaczego ciemno tak nad dzieckiem? Co będzie potem, jeśli od początku świat tak zawile się tłumaczy? Niech mi dziadek powie, niech głowę rozpaloną studzi, tak jak dłonią z policzków zbiera żar. Niech mnie światłem uśpi, bo z tej ciemności nie sen przychodzi, lecz upiory.

— Moje dziecko — odrzekł dziadek — wszystko kłamstwo.

— Kto nakłamał?

— Wszyscy.

— Po co?

— Człowiek ciągle kłamie.

— Dlaczego?

— Bo prawdy nie zna i znać nie chce.

— Ja bym chciał wiedzieć.

— Tak się zdaje.

— Ja nie kłamię.

— He, he — bez przerwy! Powtarzasz przecie cudze kłamstwa.

— Dla mnie to prawda.

— Dla każdego prawdą jest to, co mówi właśnie.

— Więc i ty kłamiesz.

— Ja mówię mało, swoje wiem i na tym koniec. Prawda, myślę, wychodzi sama i po tym tylko ją rozpoznasz, że jest inna, niżbyś chciał, jeszcze dziwniejsza albo prostsza.

— Więc mam czekać?

— Spać, może ci się wyśni.

— Śmiejesz się ze mnie?

— Mnie tam nie do śmiechu.

— A ty w nocy śpisz?

— Jak suseł.

— Przyśniło ci się kiedy to, coś chciał wiedzieć?

— Ja twardo śpię — rzekł z uśmiechem siatkę na łóżko zaciągając. I odszedł, rozmowy nie skończywszy. Jak wszyscy, jak cały ten kłamliwy świat.

---

— Śpię. — W tym kłamstwie moja radość, moja noc długa, na którą nie ma przyzwolenia, więc wolna.

Gwizdek Dubiela ją zaczynał i psów szczekanie. Sam zostawałem i myślałem, jakbym urządził świat, gdybym go stworzył — siebie, dziadka, Polskę i zakład wynajmu. Bogiem byłem trzeźwym i o dochody swoje dbałem. Świat był biedny, nie miał koni, aut, kolei ani wojska, ani praw. Kto chciał jeździć, wojny robić, orać, żenić się lub zmarłych grzebać, do mojej musiał przyjść kancelarii, z której rządziłem armią dorożkarską w baty zbrojną

i przebraną w cylindry, czeka i liberie. Na cały świat stangretów ślałem, rządów oraz stróżów nocnych z psami. Byłem Bogiem — przedsiębiorcą. Nie groziło mi bankructwo ani kryzys, ani narzekanie bab, bo ich nie było w moim świecie — synów samych znosiły mi ptaki białe — orły czy sępy. Chowano ich potem w domach sierot, pod okiem księży. Jam ich odwiedzał, a gdy mi który w oko wpadł, mierzyłem w niego końcem laski, mówiąc:

— Pójdź, synu, na służbę do mnie.

Sieroctwo było grzechem — odmienną płcią — niewolą, z której zbawia ojciec-wódz, i z sieroty-baby czyni chłopca, mężczyznę i żołnierza. Tak świat widziałem i historię. Sierotą byłem ja — i Polska. Tę ostatnią zbawił Marszałek. Kto mnie zbawił, czy dopiero zbawi? Kim jestem? Już chłopcem czy sierotą jeszcze? Gdzie mój zbawca, co mi udzieli siły, męstwa i wiedzy? Dziadek? Ten, w niewoli bab? Nieznany ojciec? Doktor Kraft? Czy Bolko, wuj bez głowy, którego zeszyt w szafie zegara kryję jak księgę zaklęć, klucz magiczny?

W obrazkach, mapkach i symbolach dzieje początku opowiadał, upadku, końca, i formuły szukał zbawienia, czyli powtórnego życia. I zginął, umarł... Został sam — gdzieś pod lasem, w zbiorowym grobie, opuszczony. Śmierć go wtrąciła w stan sieroctwa, w niewolę — grzech; śmierć, którą za kobietę miałem, wiedźmę-babę, co skrzeczy ciotek płaskim głosem. Więc zeszyt jego jest pułapką? Kto go tam schował? Kto go podrzucił do pokoju, kto chciał, aby w moje ręce wpadł? Czy to nie podstęp i trucizna, która mnie wtrąci w bab niewolę, w sieroctwo wieczne, w śmierć — jak Bolka?

Wstawałem, bosy, na posadzki taflę skakałem cicho jakby w wodę; od okna płynął blask latarni; tą ścieżką światła szedłem chwiejnie ku milczącemu zegarowi. Stawiałem krzesło bezszelestnie, by mi za stopień posłużyło, i otwierałem szafkę, w której wagi złote lśniły i wahadeł tarcze, jak dwa księżycy. Zeszyt brałem i latarkę, którą przy nim kryłem. Z zimna drząc kryłem się w pościel rozpaloną — z koldry tworzyłem grotę — białe fałdy w świetle latarki były lodem i śniegiem, lampka ogniem — przy ogniu zeszyt otwierałem — mag i pustelnik, i wygnaniec. Niecierpliwie mijałem znane obrazy z wczesnych dziejów: chrzest Polski, Mieszko i Dubrawa, Leszek w Gąsawie (biały, nagi, z konia upada pod ciosami), zjazd w Łęczycy — wszystko to ciemne, nieporządne, w skali powiatu. Potem lepiej: Grunwaldy, Chocimie i Kirchholmy — gromady koni, hełmów, skrzydeł. I znowu chaos: jakieś sejmy zerwane, rokosze, konfederacje, elekcje, pakty, awantury. Z niechęcią patrzę w nowych królów golone twarze, długie włosy, kryzy z koronek przy podbródkach, pończochy białe ze sprzączkami, bufiaste spodnie w paski, jakich sam nie chciałem nosić, gdy podobne kupiono dla mnie w firmie Bébé; wreszcie warkocze z kokardami... Ze wstydem przerzucałem karty haniebne, zniewieściałe, i jak ten kaznodzieja błady, z rozwianym włosiem, wołałem: „Zginiecie, biada, w takim stroju...”. Aż przyszła chwila: żołnierze obcej armii stają w drzwiach. Chłopy zdrowe, wielkie, z wąsami; czapy na łbach jak infuły, u ramion sterczą długie sztyki — a kupa ich, i ślepia trzeszczą, gotowi kogo trzeba brać: króla w peruce i pończochach, biskupów w lokach i koronkach, białe damy, co w łóżach jak w teatrze siedzą z chusteczkami, jak ciotki moje, przy splakanych oczach. Czy wariata tego, co do stóp króla padł z piersią nagą, na której rany i szkaplerze za jego sprawą tylko świadczą przeciw żołdatom, którzy dzwonią podkutym butem na dziedzińcu... Szyby drżą i mdleją damy, kiedy ich męski słycać krok.

Latarkę gaszę, zeszyt kryję. Stopami ruszam, patrząc w ciemność światłem z ulicy rozproszoną — od okiennej ramy na ścianie krzyż — szczekają Dubielowe psy i nocny tramwaj rzuca w szyby błękitne ognie jak pioruny.

W blasku sinym ruszam w drogę — do marsza moje stopy skaczą — rosną na wymiar butów ciężkich; u ramion sztyk jak skrzydło strzela, pod nosem wąs, i groźne oko ciemność tnie. W ulicy uspionego miasta dudni najeźdźcy krok — mój krok okrutny.

Bywało, że do rana nie spał — do świtu, który pierwszy witał dźwięcznym brzękaniem dzwonek sierot, a po nim trąbka policyjna głosiła zakończenie nocy. Wtedy spałem.

---

W państwie, jak i w domu naszym, spór toczył się o konie, i o te — jak dziadek mój powiadał — śmierdziele, czyli samochody, tanki, pancerne wozy motorowe, aeroplany,

zeppelinów, gazy, balony i co tam jeszcze wymyślono, aby skuteczniej wroga tłuc, gdy będzie trzeba. Stary wódz, dziadek, upierał się przy koniach pono, mówiąc, że tańsze są i nie zawiodą w pogodę żadną ani w złej drodze. Sam swoje wojny wygrał konno i nawet nie chciał cierpieć myśli, by inną wojnę mógł dopuścić Bóg. Inną przegramy — myślał pewnie — przegrać musimy, bośmy biedni. Wiedział, bo mądry był jak wszyscy starcy, że czasu i pieniędzy mało, aby w ojczyźnie wszystko zmienić: środki i ducha, rodzaje broni, wzory męstwa, które od wieków ustalono. Wiedział to zbyt dobrze, by chciał zrozumieć; więc trwał w uporze, gdyż nic innego nie zostało: siebie i nas przed strachem bronił, mruczając uparcie i gniewliwie, że co koń, to koń. Kiedy poczuł się stary, chory, i kiedy pojął, że dni już przed nim policzone, kiedy strach o przyszłość kraju i własną dobrą sławę dłoń mu położył na ramieniu i na ucho szepnął, że czas się zbliża porachunków, bo już wygasa zawarty z życiem pakt przymierza; kiedy lekarze domowi przestali przed nim kryć choroby utajony bieg, a równowaga władzy, której on był miarą, chwiać się poczęła, bo niepokój stronnictwa ogarnął, izby obie, sztaby oraz gabinety; kiedy dyskretne informacje przeciekły do ościennych państw, a w kancelariach rozważano wariant, co byłoby, gdyby on... Kiedy tak jego los osobisty i kraju los zrównały krok, spiesząc ku nagłym rozstrzygnięciom, on — sam, czy za radą czyjąś — dał rozkaz konnej defilady, jakiej wieki całe nie widział zubożały kraj. Rocznicę odszukano starą zwyczajem nad mocarstwem, które od dawna nie istniało, by nie urazić istniejących; wspomniano króla i konnicę — dowodził król, a walczył koń, królowi cześć i koniom cześć, wodzowi i ułanom jego oraz praojcom wszystkim chwała, braciom pokrzepienie serc, przeciw technice demonstracja, psychologiczny manewr śmiały, spektakl potężny dla publiki i wodza występ pożegnalny.

Dla firmy pełne chwały dni: w sztabach parady wymyślono, że ładniej będzie, w dobrym stylu, gdy przed frontem konnych wojsk, konnym zaprzęgiem wódz przejedzie.

Pamiętam dzień, kiedy do kancelarii dziadka przyszła delegacja komitetu, który miał ustalić szczegóły święta. Przyszli cywil, policjant jeden i wojskowy. Pod biurkiem dziadka, u nóg jego obutych w filcowe, grube kapcie, jak trusia tego dnia siedziałem z gromadką moich najwierniejszych wojsk. Słyszałem wszystko i widziałem tuż przed nosem tupiący wściekle dziadka kapeć. Mówiono zaś mniej więcej tak:

— Zgotuj pan, panie Teofilu, najlepszy powóz, jaki masz, i konie najpiękniejsze daj — koniecznie białe — cztery. Stangretów przebierz tak, jak tylko pan potrafisz.

— Pan artysta jesteś od tych spraw.

— I obywatel.

— Dom pański to prawdziwa Polska.

— Sławę pan zyskasz.

— I zarobisz.

— Na nogi stanie pański zakład, choć czasy ciężkie.

Milczał dziadek. Kapeć podniósł się i opadł, kurz wzniecając.

— Wódz — podjęto — Wódz Naczelny, będzie pańskim pasażerem. Rząd zapłaci za usługę, a pan weźmiesz udział w przedstawieniu, które cały kraj podziwiać będzie.

— Co tam kraj — świat zdębieje. W gazetach pańskie konie będą. I w historycznych podręcznikach.

— Nie wolno nam wyjawić znaczenia, jakie ta defilada ma dla polityki.

— I dla strategii — wojskowy pewnie słowo wtrącił, bo ostrogi przy tym brzękły cicho.

— Sąsiadzką zrobisz nam przysługę — rzekł trzeci pan, policjant chyba, skoro wspomniął o sąsiedztwie. I ciszej dodał: — Łatwiej nam będzie czuć z bliska nad bezpieczeństwem przygotowań. Pan mnie rozumiesz?

— A więc!

Podniósł się kapeć przed moim nosem.

— E, panowie...

— Więc jak: zgoda?

— Chyba, myślę...

— Co tu myśleć?

— Myśle, że nie.

Cisza zapadła, chwilę trwała. Kapeć wciąż tupał.

— Jak to? — zdumiony głos zaszemrał.

— No nie, mówię!

— Odmawiasz pan rządowi, wojsku, szefowi państwa i policji? Dlaczego?

— A bo nie chcę.

— Można nie chcieć, wiesz pan czego? Baby, kiedy człowiek stary.

— Dziecko słucha.

— Jakie dziecko?

— Wnuczek? Brawo. Spytamy wnuczka, czyby nie chciał, by Marszałek konikami jego... Pójdź tu, dziecko...

Powstać chciałem, lecz dziadek nogą mnie przytrzymał.

— Dziecka nie trzeba mieszać w to-to. Ja wiem dobrze, co mi trza robić. Nie, i basta! Siwki dwa mam tylko, a lando stare, odrapane, liberie w dziurach.

— Nowe pan kupisz, rząd zapłaci.

— Ja w te rachunki już nie wierzę. Rząd mi dość winien.

— Co panu winien?

— Na wojnę wzięli setkę koni, powozów tyle, że mógłbym niejednego, panie, marszałka wozić. Rząd mi ludzi zabrał i wytracił gdzieś na frontach.

— Co pan pleciesz? Polski nie było jeszcze wtedy.

— Mnie to nie obchodzi. Rząd to jest rząd. Tutaj w szufladzie kwity trzymam na wszystko, co mi wojsko wzięło.

— Cesarskie wojsko, austriackie. Myśmy są teraz wolne państwo.

— Co miałem — zdławionym głosem rzekł właściciel — oddałem Polsce. Swoje rachunki mam z Marszałkiem.

— Ćśś, nie mów pan nic, panie Teofilu, nam słuchać nawet takich rzeczy nie wolno.

— Rachunki, mówisz pan? Kto ich nie ma!

Ściszyli głosy, zapachniał tytoniowy dym:

— Despota...

— Brutal...

— Prawa depcze.

— Rozpędza sejm.

— Czystki w wojsku.

— W policji ciemne elementy.

— Samorząd miast to czysty śmiech.

— Pochlebców zgrają otoczony.

— Siebie tylko słucha.

— Ludzi łży.

— Zasługi ma, lecz...

— Lecz kto ich nie ma?

Podniesiono głosy:

— Trzyma nas w rękach.

— Kto jak nie on?

— Co po nim będzie?

— Trza mu pomóc.

— Chce defilady, niech ją ma.

— Dla miasta dobrze.

— I dla kraju.

— I pan skorzystasz.

— Pomóż nam, panie Teofilu. Pójdziemy panu też na rękę, gdy będzie trzeba zezwolenia na pogrzybek jaki...

— Pogrzybek — ha, ha!

— Dobrze, co?

A dziadek.

— Nie.

Zamilkli. Potem chłodno:

— Otwartej chcesz pan opozycji? To inna rzecz. Nas w to nie mieszaj. Pomówić szczerze nikt nie broni, każdy powiedział to, co myśli, lecz pańskie „nie” jest natury innej niż nasze drobne zastrzeżenia. Zostań się z Bogiem. Są jeszcze inne firmy w mieście.



— A nie ma — zaśmiał się dziadek tryumfalnie — chyba że taksówką pojedzie wódz albo specjalnym autem firmy PARADIS lub CONCORDIA. Ha, ha!

— Niewczesne żarty — rzekł serdecznie głos należący do policji. — Nie chciałbym o nich pamiętać, gdy z tego domu wyjdę. Odmowy pańskiej też pamiętać nie będę, ani w jej rację nie chcę wchodzić.

Wstali z szurganiem nóg i brzękiem ostróg. Wtedy „stójcie!” — krzyknąłem i wyskoczyłem spod nóg dziadka jak pies, którego zbudził ruch, więc do nogawek skacze z klami, by ugryźć albo pożartować.

— A ty co? — zakrzyknął dziadek.

Rzekłem:

— Uczyniłeś mnie, dziadku, dziedzicem firmy na wypadek śmierci twojej — nie malowanym będę właścicielem, to musisz wiedzieć: plany mam ogromne, które w czyn wprowadzę, gdy tylko przyjdzie moja chwila. Dziś tylko niemym jestem świadkiem twoich poczynań — tu ukryty (jamę pod biurkiem ukazałem) towarzyszę myślom i decyzjom twoim, ucząc się władać i posiadać od ciebie oraz przeciw tobie, jak każdy dziedzic i następca, który swych poprzedników depcze, zniesławia lub wielbi w tak przewrotny sposób, by korzyść własną odnieść i siebie wzmocnić kosztem trupa. Uczę się zatem... Do rady jeszcze nie dorosłem, dziecinny rozum w mojej główce, która, choć nienormalnie duża, za ciasna wciąż, by wszystko pojąć, co trzeba, aby życiu sprostać. Do zabaw jeszcze rozum skory, bom dziecko. Lecz w dziecku jest coś, dziadku drogi, co od rozumu potężniejsze, co człek powoli z wiekiem traci, jeśli z dzieciństwem rozbrat bierze i zrywa związki z życiem, zawarte wtedy, gdy patrzył na nie z wysokości waszych, dorośli, stóp i kolan. Ja, dziecko, głosem życia jestem, jam samo życie, jak ono prosty i dziki jak ono. Jeszcze umiem ulegać chęciom, nic mnie nie wstrzymuje i nic nie tłumaczy. Ja cię poczę, co czynić należy, kiedy miłość twoja ojcowska do chłopca, który z domu odszedł za wodzem, twe zakazy depcząc, i głowę stracił w grzędawiskach, kiedy miłość, mówię, siła mi nieznaną, bo życiu przeciwną, twoich decyzji bierze stery. Nic o miłości jeszcze nie wiem, więc radzić mogę, byś ją deptał. Ty chcesz, dziaduniu, wodza wozic z zamku na Błonia, ty chcesz, by twoje konie w gazetach były i aby zakład twój się wslawił udziałem w święcie kawalerii — chcesz tego, bo w tobie jak w człowieku każdym dziecko wciąż żyje chciwe i ciekawe, dziecko zazdrosne i niepokromione. Podpiszesz weksle, pożyczysz pieniędzy, nowe konie zakupisz, uszyjesz liberie, odmalujesz powozy, kopyta do glancu każesz wyczyścić i gdy przyjdzie dzień święta, sam konie odstawisz na zamek dla wodza i w pas się pokłonisz, i do końca życia będziesz potem się chwalił państwowym zaszczytem. Tak ja bym postąpił, gdyby mnie pytano. Zrób to samo, gdyż dziecko cię prosi, dziecko twoje, wnuczek, dziecko w tobie wciąż żywe, które miłość twoja gnębi i twój żal zagłusza. A ta miłość, to cierpienie, ach — nie powiem, bo nie umiem, bom za mały na te sprawy, myślę tylko — wybac dziecku — że ona jest wasza śmierć i słabość, to przez nią upadacie, to przez nią giną wasze plany, wojska, państwa, firmy — wszystkie wasze przedsięwzięcia giną w takich grzędawiskach, jak ten Bolko, wuj bez głowy... Dajcie władzę dzieciom, mnie ją dajcie, albo bądźcie sami jako ja — prości, chciwi i okrutni.

Czytelniku, sam dobrze rozumiesz, że tych słów nie powiedział. Ani słowa nie rzekłem, tylko w płacz uderzyłem i dziecinnym bełkotem załatwiłem sprawę:

— Ja chce marszałka! Ja chce na defiladę — i tak dalej. Lecz nie to jest ważne, co się wtedy stało, jak się stało, co się było rzekło, wrzasnęło lub co się myślało. Zdarzenia są to cienie znaczeń, a znaczenie mojego płaczu i bełkotu takie było, jak mowa, którą przytoczyłem.

Dziadek uległ dziecinie i przyjął zlecenie.

---

Dziadek weksle podpisał; zadłużył parcele, które miał za miastem. Cztery siwki kupił od księcia R. z Balic i uprzęż paradną; liberie szyć kazał dla wszystkich stangetów: białe, granatowe i czarne, bo — powiadał — rano będzie parada, a wieczorem raut jaki, bal albo opera. Kiedy arcyksiążę do miasta przyjechał (przed wojną to było), trzy rodzaje liberii były w ruchu — trza gotowym być w wszystko, gdy zakład ma służyć dla państwowej gali. Bicze kupił nowe, jak łuki wygięte, modne — mówił — w Wiedniu. I z Wiednia je sprowadził specjalnym kurierem. Wszystkie powozy i karety kazał odnowić. Po podworcu

biegał i lagą wygrażał, śpiewał i przeklinał pociągając rum z butelki, której główka złota z kieszeni palta wyglądała jak rękojeść szpady. Ja za dziadkiem krok w krok, w husarskiej zbroi tekturowej ze skrzydłami z piór kogucich. Piękne były te dni końca lata i początku jesieni. Słońce lśniło na niebie jak mosiądz dobrze odczyszczony i niebo, które u nas jest białe w dni upalne, bo siwą mgiełką przesłonięte, co dzień zdawało się czystsze, bardziej błękitne, jakby dopiero wiosna szła. Jaskółki coraz niżej latały nad nierównym brukiem i coraz przenikliwszy był ich krzyk pod okapami stajen. Strącałem z rąk i twarzy natrętnie pasma pajęczyny, jak pocałunki uprzykrzonych bab, co się nad dzieckiem roztkliwiają. Zmartwienia moje i zagadki precz odsunąłem — tak mnie pochłaniał ruch i rwetes; tak wewnętrzna gorączka ustępuje zwykle, gdy zewnętrzny świat w gorączkę wpada. Tu stolarz struga, rymarz lata, kowal jak kowal konie kuje... Tu znów malarze farbą chlapią, ówdzie ślusarze i blacharze. Bliźniaczki szyją, służba pierze, na piętrach płacz, bo w ruinę interes wpada przez wydatki, których nie zwróci żaden zysk. A honor? — mówią — jaki honor? W oknach kamienic oraz w bramie gapie, a także podejrzane typy w paletkach szarych i w kapeluszach miękkich z wstążką. Po gospodarstwie naszym chodzą sobie jakby po swoim, na ręce pracującym patrzą, stukają w koła i w sprężyny, wszędzie wsadzają swoje nosy, a kiedy dziadek huknie: „Co tam? Czego pan jeden z drugim chcesz?”, papierki jakies pokazują albo odznaki pod klapami, i milknie dziadek, mrużąc „banda”.

W domu ruch i w mieście ruch. Dwanaście tysięcy ponoć koni i ludzi przywieziono pociągami ze wszystkich stron kraju, dwanaście pułków kawalerii, strzelców konnych, szwoleżerów, pionierów, zwiadu i łączności — cała konna armia stanęła w mieście. Koszar i fortów dość tu było z czasów cesarstwa, a jeszcze wszystkich nie starczyło dla tak olbrzymiej koncentracji konnych i ludzkich efektywów. Zajęto wszystkie w mieście szkoły, dzieciom wakacje przedłużono, zabrano stajnie i garaże, składy, remizy. — Wojna prawie — chichotał dziadek, szczęśliwy, bo korzystniejsza od poprzedniej miała być dla jego firmy.

Przyszli i do nas. Noc już była, gdy kopyta po bruku nagle zadzwoniły i przed bramą naszą ostro zaciągnął głos dowódcy:

— Szwaadron, stój! — i rzuciły się zaraz z wrzaskiem Dubielowe psy.

Nie spałem jeszcze, rozmyślałem nad lepszym urządzeniem świata. Na równe nogi skoczyłem, szarpnąłem story. W sinym świetle gazowych lamp zobaczyłem kwadratowe czapki, strzeliste błyski lanc, koni tłum maści zbłękitniałej w mroku i ułanów, którzy daszki na oczy nasunęli, spuścili głowy, twarze skryli w kołnierzach płaszczy (noc była chłodna, bo wrześnieowa), spali chyba, a ja pomyślałem zaraz, że są pozbawieni głów.

W domu krzyk. Stuka Dubiel w okna, do bramy dzwonią, dziadek z pokoju swego ryczy i gdaczą ciotki przerażone:

— Co jest, u licha, spać nie dadzą!

— O Boże, wojsko!

— Kwaterunku nakaz!

— Jaki nakaz? Kto mi śmie w nocy rozkazywać w mym własnym domu?

— Wojsko!

— W dupie mam wojsko w czas pokoju!

— Z komendy miasta rozkaz mamy.

— Ja tu komendant i nie wpuszczę żadnego wojska.

— Ależ, tato...

— Konie moje i stajnie do rządowej dyspozycji dla naczelnego wodza!

Rotmistrz z brzękiem ostróg wszedł do domu. Dziadek go przyjął w bieliźnie, z nastrozoną brwią. Przez drzwi słuchałem ich rozmowy; pan rotmistrz śpiewnie jakoś mówił, bo ze wschodu przybył z pułkiem:

— Ta co pan krzyczysz? Co ja winien? Papirek, panie właścicielu, na dworcu dali, na kwaterę skierowanie — adres się zgadza, taj przyjechał. Chłopaki mi w kulbakach śpią, też miej pan serce.

— Panie — rzekł dziadek.

— Rotmistrz jestem ...icz — rotmistrz ostrogami brzęknął.

— Bardzo mi tego... Otóż, tego, ja nic nie wiem, że tu ułanów tego...

— Ta co ja winien?

— Stajnie u mnie, panie, pełne.

— Może posuną się koniki?  
— Nie posuną się moje, panie, konie, bo je zamówił rząd dla Wodza.  
— Jakiego wodza?  
— Naczelnego.  
— Dziadka znaczy — zdumiony z lekka rzekł oficer.  
— Ano dziadka — huknął dziadek. — Furmanów muszę wysztyftować, konie wy-  
czesać, wyrzutować powozy i karety, a pan mi tu kasarnię<sup>45</sup> na łeb chcesz tego...  
— Ta nie krzycz pan. Chłopaki, mówię, śpią w kulbakach. To co ja zrobię? Taż to  
noc...

W wielkim gniewie ścisnąłem fald kotary, która mnie kryła. Znow jak przed laty  
o głowę syna, dziadek walczył z Wodzem, przeciw wojsku, które odganiał z swego do-  
mu. Z zeszytu Bolka powstał naraz obrazek jeden kolorowy, który oglądałem zawsze  
z płaczem: dworek biały w cieniu zielonych lip — na ganku stoi siwy starzec w żółtym  
kontuszu i żupanie, w ramionach trzyma dziewczę złote w białej sukience... Starzec płą-  
cze, przy nosie trzyma fular w kratę i ręką dziecku ukazuje żołnierzy, którzy nadciągają  
zwartą kolumną, bijąc w bębny. Wysokie czaka jak kominy, kity białe, na piersiach pasy  
skrzyżowane; kołnierze u nich malinowe i rabaty, nad nimi malinowy sztandar z białym  
orłem. A pod obrazkiem napis taki: „Patrzaj, Basiu, mówi stary, łkając w głos, patrzaj,  
mówi, jak tam nasi w tarabany...”. On ich wita, bo ich kocha, on im swój otworzy  
dom i odda syna, konie, izby w domu, stajnie, gumna, on — ten starzec na obrazku  
— jest z historią za pan brat i o nim śpiewa lud piosenkę. Taką mi wizję wuj przekazał  
w pocztówce, taki wzór historycznych wzruszeń nosiłem w sercu, o takim przebudzeniu  
śniłem w mej samotności i w sieroctwie. I oto wszystko się powtarza: jest dom i starzec,  
wojsko, dziecko, i amaranty, orły, konie, lecz wszystko dzieje się na opak, coś się rozprzę-  
gło i popsuło, starzec wygania precz ułanów, a rotmistrz go o nocleg żebrze. Gryzłem  
kotarę w złości niemej i znowu me sieroctwo czułem, sieroctwo w dziejach i w kultu-  
rze — dziedzic nieprawy, pogrobowiec, zgubiony w snach, w symbolach, znakach —  
w snach, co się nigdy nie sprawdzają, w symbolach pustych, w martwych znakach. Gdy-  
bym mógł działać, rozkazywać i świat urządzać wedle marzeń, uczyniłbym na powrót  
jedność pojedynczego indywiduum i zbiorowości, co je rodzi, domu i kraju, rodzinnych  
przygód i historii; uczyniłbym świat jak obraz w kolorach złota i purpury albo poemat  
roztętniony rytmem jak wojska krok miarowym. A tu słuchać muszę tej mowy gnuśnej,  
niepewnej racji własnych, leniwej, sennej...

— Komplikacja...  
— Kłopot taki...  
— Niepo, tego, rozumienie...  
— Przepraszamy.  
— Wyjaśnimy.  
— To na razie — dobrej nocy państwu życzę.

I znowu za oknami „szwaaaa... marsz!” rotmistrz krzyknął, ulewa kopyt na bruk spa-  
dła, poszły iskry, gdy na tramwajowych szynach pośliznął się podkuty koń; w sinym  
świecie konie przeszły smugą bladą — błękitno-malinową smugą jak ta, którą o zachod-  
dzie słońca widać nad Kościuszki kopcem; metalowe błyski trysnęły z ciemności, śpiące  
kadłuby pochyliły się nad grzebieniami czarnych grzyw.

— Spać, spać, i zamykać bramę, story spuścić, zgasić światła...

---

Błonia we wrześnie w roku owym...

Błonia — słowo archaiczne, cudem ocalałe w mowie współczesnej naszego miasta  
razem z tym, co oznacza: z łąką nadrzeczną, którą ominęło miasto, cofnęło się przed nią,  
przypadając do jej brzegów, jak stado, które do kąpieli schodzi. Rzeka Rudawa, dopływ  
Wisły, w wysokich wałów kleszcze wzięta, graniczy Błonia od zachodu; z ich drugiej stro-  
ny drzewa stoją długim szeregiem. Dwie linie proste, przeciwległe — ochronnych wa-  
łów oraz drzew — stanowią ramy krajobrazu. Łąka w tym kadrze rozciągnięta<sup>46</sup> wzbiera  
murawą, mleczem żółtym, dziką stokrocią, koniczyną; głos, kiedy krzykniesz, nie doleci

<sup>45</sup>kasarnia (daw.; z niem. *Kaserne*) — budynek przeznaczony dla żołnierzy; koszary. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>rozciągnięty (daw.) — dziś popr. forma: rozciągnięty. [przypis edytorski]

z jednego do drugiego krańca, ani kamień, choćbyś z procy strzelił, ani grot z najlepszego łuku, a człowiek wyda ci się mały, jak kamyk, co pod stopą leży. Za Rudawą wzgórze długie, za którym kryje się słońce, gdy swój bieg nad miastem kończy; na wzgórzu kopiec i forteca. Wzgórze to zwane Salwatorem od Zbawcy Świata; zbrojne zarazem i dostojne, cieniste zawsze, olchą porosłe i osiką, która się srebrzy, kiedy wiatr uniesie listków białe brzuszki.

Po stronie rzeki, u stóp wzgórza, ustawiono trybuny piętrowe, nachylone ku Błoniom, zasypane ziarnistą masą ludzkich głów. Powietrze drży nad nimi i snuje się w nim szklany blask. Chorągwie na masztach długie, puszczane wolno, wzbijają się ciężko w górę i, jak ptaki w locie ubite, spadają, aby znów się wzbić.

Pole puste. Co dzień tu rojno: piłki skaczą i latawice na uwięzi drżą. Czerwone krowy trawę szczypią, strącając pyskiem z grzbietów gzy, kuleją konie powrozami za tylne nogi powiązane. Trochę kóz, ludzi dużo wpatrzonych w niebo lub z czołem do ziemi przytulonym. Chłopców krzyki i jaskółek, świerszczów szept, i szum, i małe muszki brzęczą, zbijając się w kolumny złote, które się rozpryskują nagle jak race, gdy je rozbije bąk lub motyl.

Dzisiaj łąka cicha. Od trybun tylko niesie zachodni wiatr szemrzenie głosów, płótna łopot, trzeszczenie masztów. Targnie łbem koń niespokojny, parskanie jego wiatr przeniesie; żołnierski guzik błysnie, sprzączka, uzda lub szabla, jakby ryba skoczyła nagle nad spokojną wodę. Nad wojskiem płaska smuga barw. Smuga żółta, za żółtą biała, błękitna dalej, za nią amarant, róż, cyklamen. Tak konne pułki z proporcami na wietrze nieruchome stoją czekając, aż nadjedzie Wódz.

I oto jadę. Gdy przyszedł wielki dzień parady, dziadek wdział żakiet, spodnie w prążki, krawat przekłuty szpilą z perłową główką, kremowe getry, rękawiczki białe i nowy melon; mnie przebrano w miejscowy, narodowy strój: w rogatą czapkę z pawim piórem, w kierezyję granatową wyszywaną cekinami, paciorkami — pas skórzany z kłamrą złotą, czerwone spodnie w białe prążki i cholewy też czerwone. Strój ten specjalnie był uszyty na tę okazję. Do ręki dano dziecku bukiet — jak snop — róże w kolorach oficjalnych.

— W górę! — zawołał dziadek do Dubiela; ten liberię włożył granatową na srebrne guzy zapinaną — na łeb cylinder przecięty białą pręgą blasku; obok Dubiela obcy typ, przebrany w identyczny strój z szatni dziadka. Z policji go przyprowadzono tego dnia rano i polecono przebrać za stangreta. Anielski uśmiech miał na twarzy i goryle łapy, które z trudnością wlażyły w furmańskie, białe rękawiczki.

— W górę, na zamek!

W oknach parteru i na piętrach rodzina, służba — gapie w bramie, naprzeciw, w domu pod Józefem, tłum błądych sierot; wszędzie flagi, gołębie, portrety Wodza i policja.

Tak na zamek zajechalim, pod tę górę, co to każde dziecko wie, jaka jest stroma i dostojna. Policji pełno wokoło i wojska w stalowych hełmach; na najwyższej baszcie chorągiew fruwa, z orłem białym w czerwonym polu, a wokół orła biały wąż (ta flaga znaczy, że głowa państwa zajęła należne jej mieszkanie w domu, który porzucił kiedyś król).

— W górę jedź! — ochryplym głosem woła dziadek. Sine plamy wstąpiły na policzki najwierniejszego ze stangretów — długim, białym batem świsnął po grzbietach czterech siwków, a te — ze strachu czy przekory splątały zaprzęg. Do tyłu skoczyły miast<sup>47</sup> do przodu, aż się zachwiał na koźle typ z policji i wrzasnął głośno:

— Co u diabła!

— Chytaj pan dyszel! — huknął Dubiel szarpiąc lejce i policjanta chyba kopnął, bo tak zniosło z wysokości, jak pajaca z dykty znosi w strzelnicy trafny strzał.

— Wio, malutkie! — zapłakał Dubiel, a dziadek stojąc za plecami stangreta — jazda! — ryczał — psiakrew! — A tu już biegną policjanci, wojsko, szpicle i miejska służba.

Co dalej było? Tak było, jako miało być. Grzmiały kopyta w zamkowej sieni, pod kołami szemrał żwir dziedzińca. Czekaliśmy długo w lesie wyniosłych kolumn lekkie galerie unoszących, parskały konie, kiwając łbami na pomyślność. Aż zadzwoniły ostrogi adiutantów, wrzasła<sup>48</sup> komenda, błysnęły szable honorowej straży i wyszedł z wąskich, starych

<sup>47</sup>miast (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>wrzasła (gw.) — dziś popr.: wrzasnęła. [przypis edytorski]

drzwi znaczonego króla monogramem ten człowiek, którego w snach i w bezsenności za ojca sobie przysposobił. Ujrzałem z bliska mundur siwy przepasany błękitno-czarną wstęgą orderu Militarnej Cnoty, ujrzałem siwą brew i wąs ten sam, co na pieniądzach i na znaczkach, srebrną buławę — znak ojcostwa z obrazów starych odczytany. Mój dziadek mu się w pas pokłonił tak, jak kazałem. I rzekł:

— Konie, panie, moje... A to wnuczek — w bok mnie szturchnął — kwiaty daj!

— Dobrze, dobrze, moje dziecko — zadudnił nade mną bas znany z radiowych membran i wąs od dziadkowego twardszy musnął me czoło.

— Siadaj — powiedział tak, jak chciałem — na kozioł, pojedziemy razem tę, panie, defiladę przyjąć.

I jedziemy. Przede mną konie fanfarzystów zadami trzęsą w spiesznym truchcie. Talerze szwoleżerskich czap płyną jakby po wodzie nenufary; rękawy zdobne w srebrne strzały wznoszą się w górę, trąby złote z purpurowymi proporcami tryskają słońcem i dźwiękami. Dubiel po mojej lewej stronie z przejścia głośno sapie, goryl w liberii gniecie mój prawy bok, pośrodku siedzę jak maskotka albo łaskawy żart marszałka. O tym marzyłem w noc bezsenną i tak bym zrobił, gdybym marszałkiem był sam, a on chłopczyną w kierezyi. Jadę i czuję zgodę pełną pomiędzy mną a starcem, który za mną siedzi w białych poduszkach — zgodę i jedność czuję natury mojej i Marszałka, jedność z historią, jedność świata — spełniony sen. Jestem gorący, promienieję jak trąba w rękach szwoleżera — przeze mnie płyną dźwięki gromkie, we mnie utkwily wszystkie blaski pięknego dnia; we mnie Duch z obrazów starych wszystkie promienie swoje skupił, ja je odbijam i rozsyłam, wzniecę pożary w sercach, głowach, szalonych chłopców przywołuję, z rodzinnych domów wyprowadzam w pola, gdzie potracą głowy. Buławą jestem i skinieniem, okrzykiem i spojrzeniem wodza, symbolem jestem, znakiem — chłopcem, którego ptak przynosi, porywa potem — i samym ptakiem jestem z tarczy, z chorągwi i z krwawego pola. Kwiaty spadają na mnie z okien, „niech żyje” krzyczą cienkie głosy, huczy miasto na jego i na moją cześć.

A oto pole, oto Błonia. Zielony przestwór spieniony lekko srebrną rosą. Jaskółki w górze i chorągwie, po lewej głośny tłum spiętrzony, po prawej smuga nieruchoma — i nagły szabel błysk, i krzyk jak grzmot, i wielokrotnym echem bije skoczny, generalski marsz.

Trybunka stała samotna, jak czółno w zieleń łąki wparta, skrzydłami orła ozdobiona. U jej stóp przysiadłem. Bolały mnie nogi i do snu oczy zamykałem: noc miałem nieprzespaną i o świcie wstałem.

Leciały w górę kawały mokrej darni (strażacy trawę polewali za każdym pułkiem, aby nas nie zakrył kurz wniecony przez kopyta), tętnił spod ziemi puls pospieszny i mnie ogarniał jak gorączka; biedne, małe serce moje biegło kawalerii klusem i krew do głowy uderzała, fala za falą, w miarę, jak szwadrony szły. Rwały konie, nad ziemią nisko rozciągnięte jak łuki lekkiej kolumnady. Widziałem ostrogi wbite w brzuchy i krew na sierści. Wędzidła darły miękkie błony pysków; zęby długie, żółte wyszczerzone z bólu i wysiłku, różowe dziąsła i języki kapiące białą pianą — widziałem. Ułani w siodłach pochyleni skłaniali przede mną ostrza lanc. Stawały dęba przed trybuną oficerskie białonóżki, złote gardy owinięte srebrną frędzlą podnosiły się do okutych blachą daszków i po trzykroć krzywe ostrza przeszywały chmurę pyłu. Tańczył koń w szybkim rytmie trąb i bębnow, aż go do dalszego biegu spięła ostroga, i nowym wstrząsem poruszona ziemia rzucała o trybuny burtę falę skóry, sukna, drzewa, żelaza, darni, piany, potu i krwi. Ręce kurczowo zaciśnięte na drzewcach, szablach i uzdach, i twarze skryte w cieniu daszków i hełmów, i oczy koni, oczy ludzi w gorączce cwału. A trąby grały, bęben bił i chorągiewki trzepotały jak skrzydła ptaków wypłoszonych nagłym wystrzałem z wodnej trzciny. Sfrunęły żółte, białe, czerwone przeleciały kluczem, potem różowe jak ibisy, błękitna smuga jak złudzenie, jak wizja lotna przypląnęła, a za nią malinowa smuga — jak obłok, który wiatr zwiastuje: malinowe chorągiewki, malinowe otoki u graniastych czap orłami z blachy uskrzydłonych. Wstałem wtedy; nogi miękkie miałem, jakbym z konia spadł, jakbym całe Błonia przebiegł z ulanami. W oczach czarne chorągiewki czy motyle-żałobniki. Suchość w gardle jak od krzyku, choć przysięgnę, że milczałem. Wstałem, gdy ten malinowy obłok zawirował, ze snu, i ulani wypędzeni z mego domu nadjechali z brzękiem broni, w świstach wiatru, z rżeniem koni, a ich rotmistrz wzniósłszy szablę

krzyknął śpiewnie:

— Na komendu moju baaaa.... uść!

Dźwignąłem rękę do krakuski i wnet zawirował świat — upadłem.

Zbudziłem się w łagodnym klapu-klap po bruku. Ktoś w ramionach mnie kołysał i alkoholiczny zapach wionął prosto w nos. Przed sobą ujrzałem zgarbione plecy Dubiela i cylinder na tył głowy zesunięty, jakby już, już miał spaść. A nade mną ktoś chrypliwie i żałośnie nucił:

Miała baba indora, indora, indora,  
Wsadziła go do wora, do wora — bęc!

---

Nie przedstawiam wydarzeń, lecz ich treści warstwami kładę, w miarę jak postać się rozwija, którą obrałem, jak geometra punkt obiera, aby ogarnąć przestrzeń dla pomiarów. „Ja” mówię nie o sobie, lecz osobie dowolnie wymyślonej zaimek taki przypisuję, aby przekonać czytelnika, że osobiście znam tę duszę, której plan wewnętrzny kreślę. Plan zatem, nie historię; bo to rzecz inna, co się z człowiekiem działo w czasie, czego dokonał, o czym dumał, inna zaś — czym on jest — ów człowiek — mówię — wobec świata: jaki udział bierze w wydarzeniach i w ruchu pojęć, o ile jest ich rezultatem i tworem-matrycą, którą rzeczywistość tłoczy, taśmą dźwiękową, kliszą czułą, na których siada pył widziadeł i głosów; czy też na odwrót — on jest źródłem, nadawcą stacją, uderzeniem w dzwon natury, bodźcem, który jej mówić każe, woła, która sens nadaje głosom, co w kosmosie szumią, inwencją, która odczytuje zaszyfowaną mowę świata, instynktem, który znaczeń szuka, jak zwierzę pokarmu pod zaspami? Samotny jest wśród bezmyślności czy jakiejś wielkiej myśli cieniem? Sierotą ponad miarę mądrym czy synem prawym, chociaż ślepym, który swego ojca nie umie poznać? Kim jest to dziecko w byt rzucone jak w ciemną puszczy, kim jest dziecko, co rozumie i poznaje wszystko prócz tajemnicy swego przyjścia, prócz miłości, co mu życie dała, i piersi, która je karmiła? Synem wilczycy? Ptaka? Ducha? Czy dwojga ludzi zagubionych, jak ono, w niezmiernym świecie?

Autorowi wszystko wolno, jest bowiem stwórcą i osobą: stwarzając — wolność zachowuje, wolność założeń, wolność celów. Zakładam zatem, że moje powieściowe „ja” jest w świecie idei tym, czym jest atom dla kosmosu: mikrostrukturą i modelem, źródłem energii i programem; jest kodem, w którym znaki wszystkich kultur już dane są i zapisane; jest ma dusza (jak powiadała Młoda Polska) planem generalnym wszelkich rozwiązań i decyzji, muzeum wszelkich dzieł gotowych i składem przyszłych prototypów. Ustroje wszystkie i powieści, wojny, przyrządy i symfonie, stare obrazy, nowe słowa, ciemne i jasne metafory, choroby dawne oraz takie, których nazw w słownikach nie ma, bo się nie wyroiły jeszcze z piekła, blizny po ranach oraz miecze, które dopiero spadną, głupstwa od wieków pogrzebane i te, co formy swej dotąd nie znalazły — formy same i czyny, co się z form wylęgna jak ze skorup smoki (nowoczesna nauka obala błędne teorie tych uczonych, którzy smoki rodzinie ssaków przypisali); słowa i te ciała, w które się słowa przeobrażą, gdy przyjdzie na nie czas dogodny, ziarno i kłos, i sierp żniwiarza, i chleb, i wszystko, co chleb znaczy w systemach magii — magie wszystkie, rytuały, gry i zaklęcia oraz ich cel ukryty: środek systemu, odniesienie, jądro atomu; wszystko to w duszy, w psyche, w jaźni (o nazwę mniejsza), wszystko to w moim bohaterze gada i milknie, śpi, błaznuje, umiera, aby znów ożywać, krwawi i krzepnie, z lotnego stanu w znak przechodzi, ze znaków tworzy symbol, z symboli mity, z mitów dzieje. Bohater zatem świat poznając odtwarza wzory już gotowe, lecz nieczytelne, póki hasła-klucza nie poda ludzkość, która zwołuje, budzi, skupia; z wewnętrznych rozproszonych dziejów, z obląkań, manii osobistych swe własne tworzy: dzieje wielkie — manie rozumne, bo zbiorowe.

Bohater jest na pozór dzieckiem; lecz nie takim, które stworzyli pedagodzy: niewinnym, winy nieświadomym. Niewinnych dzieci nie ma w świecie, który ja (o piszącym „ja” teraz mówię) na podobieństwo moje stwarzam. On — mój twór werbalny — dzieckiem będąc, był już królem, co w historię odszedł i śpi w podziemiach na Wawelu, i Bestią, która w chmurach tętni, praojcem rodu i ostatnim jego potomkiem, który z zagłady ocalał. Założył miasto, po czym zburzył; prawa nadał ludowi, który wymordował; oj-

czynną zgubił, by ją zbawić. Jednego tylko nie zna jeszcze: miłości nie zna. Za mały na to. Dlatego głupi, w sobie sprzeczny — a przeto groźny...

Rósł, jak dziecko zwykle rośnie, zgodnie z prawami fizjologii, ja — powiadam — rosłem normalnie pośród zabaw i dziecinnych lektur. Czytywałem z lubością *Żywoty* Plutarcha, Tacytowe *Roczniki*, *Fajdrosa* i *Państwo*. Homera lubiłem nucić sobie w kątku albo, w szmatki przebrany ciotczyne, grywałem dla zabawy szekspirowskie role — kobiecie przeważnie. Czytywałem *Kapitał*, po trosze Nietzschego. Bergsona nie lubiłem, a Freud mnie rozśmieszał do łez. Rosłem prawidłowo z niemiłym wyjątkiem: głowę miałem za dużą wobec reszty ciała i z trudem ją dźwigałem na zbyt cienkiej szyi. Stąd częste migreny i omdlenia, i krok powłóczysty. Lecz nadzieja była, że z czasem wszystko się wyrówna i proporcje odzyskam. Tak doktor Kraft twierdził.

Od dnia nieszczęsnej defilady dziadek radził się swego spadkobiercy we wszystkich urzędowych sprawach. Już nie musiałem chyłkiem zakradać się do jamy pod dziadkowym biurkiem: sam wołał mnie do siebie i uroczyście tam wprowadzał. Na lasce wsparty czekał zawsze, aż sobie wypełnę z żołnierzami na moje miejsce ulubione.

Dziadek wpadł w kłopoty, które łatwo było przewidzieć. Nikt mu wszak nie zwrócił pieniędzy, które był włożył w ekwipunek. Reklamowy efekt, który dziadek zamierzał osiągnąć, przyjmując udział w ceremonii, rozwiął się całkiem u stóp wzgórza, wobec uporu siwków. Różne zresztą powstały wersje tych wydarzeń. Dubiel na konie wszystko zwał; wszak były obce, znarwione, trąb i chorągwi niezwykłe. Dziadek inaczej. — Umyślnie — mówił — je spłoszono, by nie dopuścić firmy do szczytów.

— Coś pan, panie... z takimi końmi tu przyjechał, które się płoszą? Chcesz pan nieszczęścia? Kto będzie stał przed sądami, gdy pańskie diabły giez ukąsi, gdy jeden z drugim ogon zadrze, poniesie powóz i roztrzaska o pierwszy lepszy słup po drodze... Pomyśl pan chwilę i odjeżdżaj, a wódz niech autem jedzie — bo to pewniejsze.

— Mnie tutaj, panie, zamówiono, papiery mam od komitetu, kto mi zapłaci, kto mi zwróci, ruina taka, hańba, świństwo — tak krzyczał dziadek u bram zamku i gdzieś tam poszedł dyskutować, klócić się, prosić... My zaś z Dubielem cicho stali — fagas z policji poszedł sobie, już niepotrzebny. Więdy różę na koźle, Dubiel sapał i kłął, a konie potrzasały łbami, jakby się dziwiąc awanturze.

Wrócił dziadek, czerwony, jakby go trafić miał szlag lada chwila. Powiedział tylko:

— W dół, do domu — i na poduszkach się rozwalil już nie zważając na ich biel.

Po drodze kazał wstąpić do Hawelki, pociągnął rumu i bełkotał:

— Gadałem z nim. Panie Marszałku, mówię, jak to... Najpierw tamto, teraz znowu... Za co mnie pan tak przesładujesz, co pan masz do mnie? Ja tobie w drogę nie chcę wchodzić, pan mi też nie wchodzi. A on mi na to: — „Pamiętam, panie Teofilu, pamiętam, dzielny był ułan... I konie ładne. Ale trudno — te moje adiutanty... I policja. Następnym razem pojedę z panem”. Tak mi powiedział — krzyczał dziadek i śpiewał piosnkę o indorze.

Co do mnie własną wersję miałem, tę najpiękniejszą, bo prywatną. I tak jest z każdym wydarzeniem — o żadnym przecie nic pewnego nikt nie orzeknie, bo w każdym udział ma fałszerstwo, które je zmienia i rozwija, jak to pisarz z powieściami czyni: życie się składa z opowiadań, które nawzajem sobie przeczą.

Kłękę więc poniósł dziadek — ja wygrałem. Jego od bramy odpędzono — ja przejechałem razem z wodzem przez całe miasto i defiladę kawalerii wraz z nim przyjąłem; mnie krzyczano „niech żyje” — dziadka wyśmiano w mieście i w domu. Zamówień w dalszym ciągu brakło, konie wciąż żarły, a furmani doleciał ich głos i pili w sztok. Dziadek zrywał się gniewnie, laskę chwycił, gdy do biura doleciał ich chóralny śpiew. Radziłem wtedy:

— Zostaw, dziadku. Niech sobie piją. Gdy przestaną, nasz zakład rzucą i pójdą precz poszukać pracy rzeczywistej. Skłonność do pracy i porządku dobra jest wtedy, gdy potrzebna dla celów wyższych, naszych — znaczy. Te same cele mogą lenistwo zmienić w cnotę, pijaństwu nadać wartość czynu.

Siadał dziadek, wzdychał i weksle tylko podpisywał pod zastaw parcel i budynków. Ja żołnierzików moich stawiałem w szeregi, w czwórki łamałem i ósemki, i tyralieri rozwijałem przeciwko kapciom starowiny. Potem ich palcem przewracałem, kazałem leżeć jak zabitym, aż im na powrót wstawać każe, i w pole lecieć z krzykiem „hurra”.

Pewnego dnia zapukał ktoś do naszych drzwi.

— Wejść — mruknął dziadek, a ja zamarłem: „Klient”?

Tak, jakiś szewc z dzielnicy Podgórz, zza Wisły.

Lekko pijany i radosny tak przedstawił swoją prośbę:

— Panie, wydaję córkę za doktora (nazwisko jakieś z dumą podał), może pan zna? Wesele, panie, takie będzie, jakiego Kraków nie pamięta. Dwunastu księży zamówiłem i męski chór *Leć pieśni w dal*. Pająki wszystkie mi zapalą, położą kokos wzdłuż kościoła, kwiaty kupiłem z firmy Freege, kucharzy wziąłem od Pollera, wino od Grossa, piwo od arcyksięcia z Żywca, od Baczewskiego skrzynie dwie, suknie z welonem aż z Warszawy. Pieniądze mam, pieniądze daję, bo tylko w życiu jeden raz człowiek się żeni i umiera. Tak czy nie?

— Tak — odrzekł dziadek jasnym głosem, bo spotkał przecie znów człowieka, który wyznawał jego wiarę w piękno i wartość ceremonii, a na tej wierze sto lat z górą nasz zakład stał.

— Teraz mi jeszcze koni trzeba. Białą karetę chcę dla córki z atlasem w środku. Furmani mają być w cylindrach, wszystkie powozy, jakie masz pan w szopie, daj, bo rodzina liczna. Kopyta koniom niech się świecą, jak... wiesz pan co. Ja się na szczegółach znam.

— Tak — odrzekł dziadek i kapciem tupie, boć to się jego spełnia sen o obyczajach nieginiącym. A szewc bełkoce:

— Teraz to, panie, ludzie autami tylko jeżdżą, bo mówią „postęp”...

— Jaki tam postęp — dziadek rzecze — choroba taka.

— Święte słowa — wykrzyknie szewc. — Auto, panie, to jest fabryczny but na jeden sezon, a co ręka to ręka.

— Co koń to koń!

— A toś mi brat! Pisz pan w księdze zamówienie na córki ślub i wnuków chrzciny — z góry płacę. I pogrzeb konny też chcę mieć! Pisz pan, gotówkę na stół kładę.

Wtedy krzyknąłem „nie!” spod stołu. Umilkli obaj, zgłupiał szewc, dziadek pod biurko zajrzał.

— Hę? — spytał.

Wyszedłem, ubranie otrzepałem z prochu i rzekłem:

— Nasz zakład pana nie obsłuzę.

— Co to? Dlaczego? Odkąd to jajo kurą rządzi?

— Jajo, mój panie, czyli skutek, jest dla przyczyny tym, czym jest pożar dla zapalki, albo tym, co dla słowa — głupiego nawet — jego sens. Kura nie wie, co zniesie, ani zapalka, co zapali, ani słowo nie wie, w co się obróci, a dziadek tyle wie o wnuku, ile kamień na ślepo wyrzucony może rozumieć, dokąd leci i co rozbije. — Tak powiedziałem.

— Że jak? — zapytał szewc, gniotąc melonik.

— Cicho, dziecko — rzekł niepewnie dziadek. — My tu o interesach.

— Ja też, dziadku. Ty do grobu schodzisz, a ja o zakład muszę dbać, bo go wkrótce odbiorę z twoich rąk.

— Ależ gotówką pan szewc płaci!

— Gotówką! — z mocą krzyknął szewc.

— I zamówienie składa dożywotnie! Na ślub, na chrzest, na pogrzeb własny i rodziny!

— Całej rodziny! — potwierdził wyśniony interesant.

— A za nim pójda inni!

— Pójda! Namówię szewców, cholewkarzy i pośród krawców wpływy mam — całe rzemiosło murem stanie i koniom przywróci cześć.

— Nas to nie interesuje — potwierdziłem stanowczo. — Plany mamy inne. Skończona rozmowa. Idź pan z Bogiem. Nasz zakład nie dla szewskich uciech.

— Że jak? — ryknął szewc. — Że hę? Że nie dla... A to, panie... Pfe. Ech! To tak... Powiem w mieście. W mieście powiem. W cechu. W rzemieślniczej izbie powiem. W magistracie. Do gazety, panie, podam. I do sądu. Za obrazę, panie, czci. Za klienta poniżenie. Jajo rządzi. Skutek, mówi. Ja ci, panie, skutek sprawię, o sku...

Zatchnął się i poszedł sobie, a na schodach jeszcze gorzej kłął.

Dziadek siedzi, marszczy brwi, patrzy we mnie jak w upiora.



— Coś narobił? — pyta wreszcie — ja ci... ja cię... Do schroniska oddam, won wypędzę, jeśli mnie nie trafi szlag! Wody! — ryknął i — trzymajcie, bo zabiję.

Wpadły ciotki, wodę niosą, krzyczą, płaczą, dziadka cucą i wachlują, a ja do zabawek wracam.

Do wieczora rwetes w domu. Dziadek rząził, nogi skurczał i rozkurczał. Wezwano lekarza, by mu upuścił krwi wzburzonej, a do mnie przyszedł doktor Kraft, szybko wezwany telefonem:

— Nasz mały zrobił dziwną rzecz! — krzyczała ciotka do słuchawki.

Wszedł z uśmiechem do mego pokoju, usiadł i przez chwilę w milczeniu patrzył, jak się bawię. Ja fortece budowałem z kamiennych klocków; wysoko w górę wynosiłem mury i wieże, a gdy już gmach tracił równowagę, zaczynał chwiać się i rozpadać, brałem do ręki byle przedmiot — piórnik, piłeczkę lub pantofel — i hup! z daleka w środek gmachu, i śmiech perlisty mój rozbrzmiewał, kiedy kamienie spadające toczyły się, skakały z hukiem, nawzajem pchając się i krusząc.

— Ślicznie się bawisz — rzekł z uznaniem znawca zaburzeń rozwojowych. Kopnąłem resztę klocków nogą i na podłodze w kucki siadłem.

— Co wolisz, powiedz, burzyć czy budować?

— Jedno bez drugiego sensu nie ma.

— Budujesz przecież, żeby stało.

— Kto inny zburzy, jeśli nie ja.

— Ach, tak, prawda... A co ostatnio ci się śniło?

— Różnie: jazda pociągiem, lot ślizgowy, klucze, patyki i kieszenie.

— A co najczęściej? Jakiś może sen szczególnie uporczywy, który cię męczy, przed którym chciałbyś uciec, skryć się?

Pomyślałem chwilę i spuściłem głowę.

— No? Pomyśl dobrze i nic nie kryj. Wszak jestem twoim przyjacielem.

— Panie doktorze — głos mi zadrżał.

— Słucham, dziecko.

— Mam taki sen, o którym nigdy nie mówiłem — nawet sobie samemu, jak gdybym go chciał skryć gdzieś głębiej, zepchnąć jakby na dno samo.

— O, właśnie — zatarł ręce doktor, a mnie zwilgotniały oczy, bom nagle pojął me cierpienie i to, że mówiąc ulżę sobie:

— Śni mi się jakaś — jakby — bliskość.

— Ciemna?

— Bardzo ciemna i wielka.

— Chmura?

— Nie wiem. Może być chmura, woda, cień czy zwierzę wielkie, lub osoba.

— Twarz widzisz?

— Nigdy.

— Słyszysz głos?

— Nadchodzi w ciszy.

— Boisz się?

— Tak, lecz pragnę także.

— Krzyczysz wtedy, czy chcesz uciekać?

— Milczę i czekam, i nie chcę tylko, aby ktoś widział to spotkanie moje z idącą chmurą czy postacią.

— Chcesz się bronić, czy sam masz jakieś złe zamiary?

— Chcę zrobić naprzód jeden krok.

— Aby się poddać?

— Aby spotkać.

— I budzisz się?

— Właśnie wtedy, gdy ruszam, aby pójść naprzeciw.

— Dużo przebywaj na powietrzu.

— Będę się starał.

— Na noc nie jadaj nic ciężkiego.

— Lekki rosółek i dwa jajka, to wszystko, co do ust biorę wieczorną porą.

— Nie patrz do studni.  
 — Z dała ją mijam.  
 — I nie myśl dużo w samotności.  
 — Postaram się nie myśleć wcale.  
 — A powiedz...  
 — Słucham pana?  
 — Jak wytłumaczysz to, coś dziadkowi dzisiaj zrobił? Figiel taki?  
 — O, nie.  
 — Więc co to było?  
 — Właśnie ten krok.  
 — Na jawie też tę bliskość czujesz? Tę chmurę, wodę, cień czy kogoś, kto idzie — groźny, upragniony?  
 — Właśnie na jawie,  
 — Nie przez sen?  
 — O snach nie było mowy wcale.  
 — Jak to? O sny przecież pytałem ciebie i tyś o snach mi opowiadał.  
 Wybuchnąłem śmiechem:  
 — A tośmy się nie zrozumieli! Ha, ha!  
 — Dziecko — powiedział wstając z krzesła — dziecko, ty uważaj.  
 — Będę uważał, proszę pana, będę uważał, zanim zrobię krok.  
 Odszedł głową trzęsąc. A ja do klocków powróciłem.

Nazajutrz, w godzinach urzędowych, zajęliśmy obaj zwykle nasze miejsca: dziadek w fotelu, ja pod biurkiem. Nikt z nas nie wyrzekł ani słowa, jakby nie było tych wydarzeń z dnia poprzedniego. Późnym wieczorem, kiedy dziadek pod kompresami wypoczywał, a mnie zapędzono spać, narady trwały w całym domu i konsultacje między piętrami. Przede mną kryto się starannie, a ja nie usiłowałem nawet podsłuchać szeptów. Znałem ich przedmiot bez słuchania: o mnie chodziło i o dziadka — o dziadka ubezwłasnowolnienie i o to, aby wnuka oddać do domu dla niezwykłych dzieci. Był taki ponoć gdzieś za miastem, doktor Kraft nad nim pieczę sprawiał i on chyba tę myśl rzucił rodzinie. Byliśmy obaj zagrożeni: ja i dziadek; obu czekała nas rozprawa.

A był to wtorek, dzień jałmużny, przez pamięć na świętego patrona biednych, Antoniego z Padwy, któremu poświęcony był ten dzień tygodnia. W każdy wtorek biuro dziadka otwarte było przez godzinę dla biedoty, którą u wejścia witał gipsowy posąg ich patrona. Święty Antoni był młodziutki, różane było jego liczko, a łysą pałkę zdobił tylko wianuszek ciemnych włosów. Na sobie miał brązowy habit białym przepasany sznurem, spod którego wyglądały bosc stopki w cienkich trepkach. Na ręce Święty trzymał Dziecko, w drugiej dłoni krągłą bułkę. Bułki takie leżały w koszu od bielizny, u stóp Świętego ustawionym, i każdy sobie brał po jednej, i pocałunek składał przy tym na tej figurce kolorowej; potem do kancelarii wkraczał, gdzie właściciel czekał za biurkiem, aby osobiście wręczyć wtorkowy grosz, czyli złotówkę. I ja spod biurka wylazłem, aby dziadkowi pomóc. Otwierałem rulony z bankowymi pieczęciami i złotówki układałem w stosy. Wchodzili z ukłonem i Boga chwalili, i grosz przyjmowali z powagą jak hostię, do rąk się schylali pana właściciela, a ten dłonie skrywał wołając „nie trzeba”. Przynękali modlitwę o zdrowie i długie życie dobrodzieja, o szczęście dla wnuczka i firmy pomyślność. I dom opuszczali, szurając trepami, drewniakami stukając, kulami, laskami — dziadkowie w kapotach i babki w chuścinach.

Wśród nich było trochę wariatów, znanych w całym mieście. Skrzypek był jeden, co ulicami maszerował w krakowskim, regionalnym stroju, w brudnej sukmanie i w czapce czerwonej z oskubanym piórem pawim; długi był, chudy i niemowa — bełkotał tylko coś, kiedy złotówkę swą odbierał i skrzypki pod podbródek wciskał, aby nam grać.

— Nie trzeba! — krzyczał wtedy dziadek — idź sobie z Bogiem.

U kolan plątał mu się karzeł z bębenkiem, także w sukmanie i w krakusce. Ten nie mówił, tylko w bębenek swój uderzał cienką pałeczką, kiedy mu dziadek trybut wręczał.

Dama jedna przychodziła, którą dziadek żartobliwie nazywał panią prezesową. Na głowie miała dziwną banię z czarnej, lśniącej słomki, w kształcie hełmu; jej twarz porastał

Szaleniec, Żebrak,  
 Miłosierdzie, Pieniądz

ciemny włos i brodawki ją znaczyły, do których miałem dziwny wstręt — dziwny, bo ostatecznie cóż wstrętnego w tych czarnych i kosmatych kropkach; płaszcz zrudziały, niegdyś czarny, do samych kostek, jak duchowna suknia — a na rękawie, prawym chyba, opaskę miała szaro-rdzawą. Basem do dziadka przemawiała ta czarna dama:

— Lecę — wołała już od progu — nie czuję nóg i tchu mi brak. Zebranie zaraz się zaczyna, czekają na mnie, a ja tu...

— Dobrze, dobrze — mówił dziadek i złotówkę damie dawał, odwracając nos na stronę, bo damę było trochę czuć.

— Bóg zapłać, dzięki — odkrzykiwała prezesowa, chowając pieniądze do woreczka — w imieniu moich biednych sierot wojennych, w imieniu moich wdów po więźniach oraz powodzian z Podkarpacia.

— Dobrze, już dobrze — machał dziadek rękami.

Z hukiem wchodził profesor Józek (tak go zwano, bo gdy był zdrowy, uczył w szkole). Gruby plik starych gazet niósł pod pachą, laską stukał, wymachiwał, krocząc długim korytarzem, a do kancelarii wszedłszy, stawał i z powagą swoje gołe pięty badał; potem spodnie podciągając oglądał sobie brzuch, kolana oraz czubki krzywych butów. Twarz miał starą, pomarszczoną, ale grzywę bujną, złotą, którą czesał grzebieniem wyszczerbionym, mizdrząc się do szyb i luster, jak chłopak w wieku dojrzewania. Dziadek znał te ceremonie, więc nie naglił. Prócz złotówki, miał dla Józka papierosa i gazety. Tylko gadać nie pozwalał, bowiem Józek lubił pytać o twierdzenia geometrii i o wzory na pierwiastki. Taka była mania bzika.

— Tu nie szkoła, ruszaj, Józiu...

Grzecznie to mówił, gdyż Józek lubił czasem lżyć rozmówców, nawet gdy od nich brał jałmużnę.

Bywał u nas we wtorki jeden kleryk stary, któremu przed laty odmówiono święceń z przyczyn dla dziecka tajemniczych. W sutannie chodził na lachman zdartej, brewiarz miał w ręce wystrzępiony, na głowie kapelusz z dużym skrzydłem. Z czerwonego oka ciekła mu łza i z ust ślina sączyła się srebrną nitką. Ten był cichy i skromny, tylko krzyżyk na moim czole zawsze chciał nakreślić i bardzo smutno się uśmiechał, kiedy mu dziadek nie pozwalał na ten kapłański gest.

— Nie trzeba? — pytał chory ksiądz i głową trzęsąc precz odchodził.

— Dlaczego, dziaduniu? — pytałem, gdy wyszedł.

— Wariaci — mrucał — im się wszystko zdaje. Ja tam tych ich bujd nie lubię. Dam, co trzeba, i już, ale te ich, panie, mowy, gry, zakłęcia...

Aktor jeden był, którego karierę zniszczył alkohol; ten znów pana grał wielkiego: pelerynę miał czarną podszytą purpurą, na głowie beret aksamitny, monokl w oku, a w ręce laskę z białą gałką.

— Witam pana łaskawego — grzmiał od progu i fałdem peleryny wionął.

Zapowiadał zawsze, że niedługo rozpocznie grywać w wielkich rolach, i z góry miejsca obiecywał w łożach pierwszego piętra. Złotówkę brał z wstydliwym krygiem i wołał:

— Łaskawco, dzięki, oddam wkrótce!

— Nie trzeba — mrucał dziadek i dodawał: — Za moje zdrowie, wypij, bratku.

Tylko przy wizytach Cezara nie dawano mi asystować.

— Mały, wychodź — wołał dziadek, kiedy tylko z dala słyhać było śmiechy służby, dźwięk gitary i biadanie czekających swej kolei, których ten wesoły żebrak mijał z monarszą bezwzględnością. Był to student filozofii, jak mówiono wtedy — dziś filologiem by go zwano — który z głodu pono, czy z miłości dostał pomieszania zmysłów. Ten kostiumy często zmieniał: raz się zjawiał z gołą głową, wygoloną i w jakimś prześcieradle narzuconym na ramiona:

— Ave, panie! — wołał ramię wyciągając — daj złotówkę.

Innym razem znowu miał na sobie strzęp munduru wojskowego i połamaną czapkę z orłem. Dwoma palcami salutował wtedy do daszka, który zwiślał jak przetrącone skrzydło ptaka:

— Melduję się i rozkazuję wypłacić żołąd. Cześć, marszałku.

Przychodził także jako cywil w starym melonie, w kamizelce.

— Mojeszanwanie — wołał wtedy i cienkim śmiechem rżał mrugając jak radca, który kolacyjkę u Hawelki ma na widoku. Przychodził jako chłop w kaszkiecie albo robotnik,

Żebrak, Korzyść

a wtedy rzezie zapowiadał, strajki i pomstę generalną na pasibrzuchach i krwiopijcach. Z gitarą tylko nie rozstawał się nigdy; z nią po podwórzach krążył, piosenki śpiewał i anegdoty opowiadał, które w kuchniach całego miasta wzbudzały nieprzyzwoity chichot. Bo świnia był, jak mówił dziadek, i dlatego wyjść nakazywał dziecku, a sam się jakoś dziwnie cieszył nadejściem błazna. Kiedym wracał, dziadek, czerwony cały, ocierał łzy i krztusił się z wielkiego śmiechu:

— A to, panie, świnia! A to drań — powtarzał z podziwem i następnego „dziada” wołał — tak nazywał tę swą wtorkową klientelę, nagłąc:

— Prędzej, prędzej, praca czeka. Mnie jałmużny nie da nikt.

I tak z nimi walczył dziadek, tak się zmagał z ich bajdami i od siebie pędził precz — tych tam, jak powiadał — bzików, których coraz przybywało; w każdy wtorek nowy jakiś wkraczał z bajdą nową; a to wynalazca z teczką pełną maści, klejów i nożyków, które zaraz chciał rozkładać i zachwalać; a to malarz-portrecista, co wędrował z kartonami i w pięć minut chciał odtworzyć rysy dziadka, moje, ciotek — po złotemu od sylwetki; a to znowu jakiś pisarz wielki, choć nieznan, który z teczki wydobywał teatralne sztuki, wiersze i powieści, albo mędrzec pisujący listy do najslawniejszych ludzi świata z projektami szczęścia, dobrobytu i pokoju; albo jakiś święty, który miał widzenia; matka z dwojgiem dzieci, z których jedno nadzwyczajnie zdolne było, drugie za to pokrzywdzone na umyśle i urodzie; albo znowu zabiedzony działacz jakiejś partii, który obiecywał przewrót w zachowawczym duchu (króla na tron chciał wprowadzić); inny zaś groził gniewem ludu; inny jeszcze działał w sprawie uciśnionych zwierząt i epokę nową wieszczył pobratania wszystkich ssaków. Coraz więcej było bzików, coraz mniej zwyczajnych dziadów. I każdemu dziadek dawał grosz wtorkowy; tylko słuchać nie chciał płaczów, gróźb, obietnic, wrózb, tylko nie przyjmował dzieł, projektów, leków, próbek.

— Nie potrzeba! — wołał, ręce wznosząc i jak szewc siarczyście kłął.

A mnie było żal wariatów. Ciekawiły mnie ich plany i pomysły, zabawiały żarty i płacz wzruszał; świat mi się wydawał piękny i bogaty, gdym ich słuchał. I prosiłem:

— Pozwól, dziadku, niechaj każdy, co chce, powie.

— Bajdy!

— A kto wie, czy tak nie jest, jak nam mówią. Niechaj mówią — każdy prawo ma do bajd. Kto to wie, jak jest naprawdę?

— Nie pleć mi tu... — mruzczał dziadek, milkłem zatem i w mej jamie musztrowałem wierne wojska.

A tego wtorku pamiętnego, nazajutrz po awanturze z szewcem, wszedł dziad jeden i powiedział:

— Panie, już niedługo sądny dzień. Słońce ma się spotkać z ziemią. Bałtyk cały kraj zaleje. Wisła w górę płynąć zacznie i lodowiec ruszy zaraz w naszą stronę. Przyjdzie nam się chronić w góry i będziemy wołać do nich — do tych, znaczy, gór — by nas skryły. Trzeba być gotowym, panie. Ale ja modlitwę znam, która uratuje świat.

Czekam, kiedy znów „nie trzeba” krzyknie dziadek. A ten, słyszę, pyta cicho:

— Jaka to modlitwa?

— Panna czysta mi ją wyjawiała, gdym ją spotkał nocą w mieście.

— Bożą matkę? Tu, w Krakowie?

— Na Plantach, przy fontannie, nocą.

— Ale? — tak się rozciekawiał dziadek. Czy na zwłokę gra, czekając aż zięciowie przygotowują przeciw niemu zamach? Czy się boi? Kapeć dziadka wznosi się i opada kurz wznecając. A bzik baje:

— Suknię miała białą, płaszcz błękitny i koronę złotą z gwiazd. Pusto było dookoła. Ja do pawilonu wszedłem, gdzie sprzedają krachle, ciastka, lody, precle — pan wie.

— Wiem. Co dalej?

— Spać się położyłem popod kratą, w kątku, derką cały się przykryłem, o!

I pokazał burą szmatę, którą w kłęb zwiniętą niósł pod pachą.

Wyszedłem spod biurka, na kolanach dziadka siadłem. Bzik był młody, bluzę miał wojskową, starą, z guzikami blaszanymi w orły. Czaszkę mu zgolono z miesiąc temu,

Żebrak, Szaleniec,  
Miłosierdzie

Cud, Matka Boska, Żebrak,  
Modlitwa

bo ją porastała niska, płowiejąca szczerć; twarz miał za to zarośniętą włosom grubym, rudym, lśniącym jak miedziany drut. Oczy miał błękitne, zażawione lekko; mówiąc rękami wymachiwał i słowa łykał jak ktoś, kto przybiegł zadyszany z wielką nowiną.

— No, i usłyszałem śpiew.

— Kobiety?

— Chóru chłopców albo dziewcząt.

— Co śpiewali?

— *Chwalcie łąki umajone.*

— W kościele może? U pijarów?

— Nocą? — zapytał drwiąco bzik.

— Bywa — ten bąknął niezbyt pewnie.

— Kościelne okna, co je nad murami widać, ciemne były.

— Bo drzewa zasłoniły światło.

— Dobrze patrzałem.

— Pielgrzymka mogła iść ulicą — do Kalwaryi lub Mogiły.

— Śpiew szedł z góry, jakby z drzew albo jeszcze z dalsza nawet — z chmur czy z gwiazd.

— Śniło ci się.

— Wstałem, zwinąłem moją derkę i wyszedłem z pawilonu. Patrzę: jasność bije od fontanny.

— Tam się przecie zawsze świci.

— Fontannę na noc zamykają i światła gaszą miejskie draby dla oszczędności. A tam — blask, i na cembrowinie, z której woda tryska w dzień — coś białego...

— Łabędź pewnie...

— Łabędzie w swoim domku spały. Podbiegłem bliżej, nad brzeg wody, i dalej, dalej aż na mostek, z którego zobaczyłem Pannę, tak jak pana widzę. Suknię miała złotą...

— Białą — mówiłeś.

— Ale wyszywaną złotem i perłami, i płaszcz błękitny na niej w czerwone róże haftowany. Koronę miała...

— Mówiła co?

Skinął głową i głos zniżył do szeptu:

— Znak mi dała, żebym ku niej szedł.

— Woda przecież?

— Też się bałem buty zmoczyć, ale mnie ten widok słodki tak pociągnął, że zeszedłem.

A woda gładka była, twarda, jak lód lub szkło.

— I bliskość podszedł<sup>49</sup>?

— Jakby do pana. No, dalej troszkę, bo nie śmiałem.

— Zapach czuleś pewnie?

— Róż i jaśminów. Alem czasu nie miał na zachwyty, bom słuchać musiał, co mi mówiła. „Świat — powiedziała — cały zginie. Pożar będzie na całej ziemi taki, że woda w rzekach zawrze i liście spadną z drzew”.

— Mówiłeś, że się woda cofnie.

— To potem. Najsampierw będzie się gotować, a od tej gorącości<sup>50</sup> wielkiej zrobią się nad światem chmury i deszcz z nich spadnie, który lać będzie nieprzerwanie przez niedziel sześć<sup>51</sup>.

— No, dobrze, idź se już.

— Dziadku — krzyknąłem — niech dokończy.

— Ale, mówiła — podjął dziad — nie wszystko jeszcze utracone. Jeszcze was wiara może uratować.

— Ja tam wierzący jestem i cały mój dom — niepewnie rzekł właściciel końskiej remizy.

<sup>49</sup>*bliskość podszedł* (daw.) — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: blisko podszedłeś. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*tej gorącości* (daw.) — dziś popr. forma r.m.: tego gorąca. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*przez niedziel sześć* — przez sześć tygodni. [przypis edytorski]

— Wiara, powiedziała, we mnie, w matuchną waszą i w to, że tobie się zjawiłam. Niech uwierzą, mówi, że spośród wszystkich ludzi świata, ciebie wybrałam na mojej łaski pośrednika. Chociażes biedny dziad krakowski, chociażes pijus jest i drań.

— „Drań” powiedziała? — krzyknął dziadek.

— Powiedz im, niechaj tu w tym miejscu — ze wzrastającą mocą mówił bzik — gdzie stoję teraz, figurę moją ufundują i niech co wieczór tu się zbiorą modlitwę mówić, której ty ich nauczysz wedle tego, co tobie teraz nakazuję. „Panno najlaskawsza, mają mówić — pisz pan czym prędzej, bo zapomnę — krzyknął, a dziadek chwycił pióro — coś się zjawiła biednemu włóczędze w miejscu, skąd zwykle woda tryska, spraw, niech to miejsce będzie odtąd źródłem miłości oraz przebaczenia dla wszystkich, którzy w to uwierzą. Przez Chrystusa Pana naszego amen”. I zniknęła, i chór zaśpiewał *Witaj Królowo*.

— Hm — mruknął dziadek, laską kręcąc, aż cienko zapiszczała guma. — A gdzie masz dowód?

— Dowód? — zakrzyknął z gniewem żebrak. — A to, że władzę odzyskałem w mych członkach?

— Kaleką byłeś?

— To pan nie pamięta, jak na laskach tutaj przypełzałem po marny grosz, którym od śmierci nas ratujesz we wtorek każdy?

— Mówiłeś, żeś po wodzie chodził?

— Sam nie wiem, jak to mogło być?

— Idź se już. Opowiedz księżom, co się stało.

— Mnie, panie, księża nie uwierzą. W pańskie ręce składam teraz losy świata. Panu to mówię, co mi powiedziała królowa nasza i panu resztę pozostawiam.

To powiedziawszy dziad się skłonił i ku drzwiom ruszył, nogą włócząc.

— Czekaj — powiedział dziadek — dlaczego *ausgerechnet*<sup>52</sup> mnie? (z austriackiej szkoły będąc, mieszał czasem obce słowa, gdy był gniewny lub zdumiony).

— Natchnienie takie zaraz miałem — rzekł dziad od drzwi się odwróciwszy — bo Panna mi się objawiła w takiej postaci, w jakiej stoi na drugim piętrze twego domu. Tyś jej czciciel, ty wykonaj jej wolę, którą powierzyła mnie niegodnemu i grzesznemu.

— A to — powiedział dziadek — łgarz — gdy ten już wyszedł.

— Skądże ta pewność? — zapytałem. — Nie wierzysz w cuda? Czy cuda były tylko dawniej albo tylko z dala od nas mogą się zdarzać — w Hiszpanii czy Portugalii? Czy świat bez cudów mógłby trwać, skoro z niczego Bóg go stworzył? Cudem go zniszczy, jeśli zechce, i cudem tylko go ocali. Wierzysz w to, dziadku, czy nie wierzysz? Powiedz mi, poucz, abym wiedział, co mam uczynić, jeśli mnie się także objawi gość niebieski, jak tej dziewczeczce w Pirenejach<sup>53</sup>.

— Uwierzę tylko w to, co Kościół do wierzenia poda — rzekł z mocą.

— A on?

— Kto?

— Dziad! Czy wolno mu odrzucić nakaz, który usłyszał? A gdyby pasterz betlejemski, którego zbudził śpiew aniołów, powiedział, że to też złudzenie i zasnął, braci swych nie budząc? Któż by nam odkrył Boga w grocie? A gdyby mędrzy trzej ze wschodu uznali gwiazdę za zjawisko zwykłe i za jej światłem nie szli w te strony, które Ojciec wybrał dla swego Syna za Ojczyznę? A gdyby tłumy tych żebraków z Judei uznały za oszusta Tego, co im zwiastował miłość, którą Bóg dla ludzi chowa — co by się stało z tą miłością, z ludźmi i z Bogiem? A gdyby, gdyby nikt na świecie nie wsłuchał się w te głosy dziwne, które mu sen spędzają z powiek, mówiąc, że inny jest od reszty, że musi sprawić coś dla drugich, dla dobra ich i w ich imieniu? Gdyby tak skromni, tak lękliwi, niewierni jak ty byli wszyscy, wtedy by ziemia była naga, pusta, byłaby pośród skał równina, na której spaliłyby pasterze nierozbudzeni po dziś dzień, przy swoich owcach, wołach, krowach. Nawet by konia nie ujarzmił ten pierwszy mesjasz, który grzywę dzikiego zwierza w garść uchwycił, by dosiąść grzbietu.

To powiedziałem z ogniem w głosie.

Religia, Wiara, Cud,  
Rewolucja

<sup>52</sup>*ausgerechnet* (niem.) — akurat, właśnie, dokładnie. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>jeśli (...) się (...) objawi gość niebieski, jak tej dziewczeczce w Pirenejach — chodzi o cudowne objawienie Matki Boskiej, jakiego dostąpić miała w 1858 czternastoletnia Bernadeta Soubirous (właśc. Maria Bernada, 1844–1879), w grocie Massabielle w Lourdes, u podnóża Pirenejów. [przypis edytorski]

— Co mi tu bajesz? — krzyknął dziadek i resztę dziadów wpuścić kazał. I wpadli z krzykiem, hurmą całą.

— Cud! — zawołali — cud, panie właścicielu! Wysłuchaj głosu Panny czystej, która zechciała mówić do biedaka. Wypełnij wolę jej najświętszą, byśmy przez ciebie nie płakali, gdy klęski spadną. Figurę kup pan!

Tak wołali, ręce do dziadka wyciągając, a ten wzruszony czy ześlony, nie licząc, gorsze im rozdawał, aż znikła kupka z brzegu stołu. Na krzyki dziadów wpadły ciotki, za nimi w półprzymkniętych drzwiach, co prowadziły do pokojów, zjawiły się głowy wujów, dziadkowych zięciów dwóch.

— Co tu się dzieje? — zawołały bliźniaczki. — Wychodzić proszę, dobrzy ludzie. Zaduch taki, że skonać można. Ojciec niech do siebie idzie, pora na drzemkę, dziecko do zabawek. Tu wietrzyć trzeba i posprzątać.

A wtedy „nie!” wykrzyknął ciekim głosem całkiem jak ja, gdy protestuję i rozkazy rzucam z kwatery mojej w jamie skrytej u jego nóg. Nadął się przy tym, poczerwieniał i uniósł z krzesła. Pięścią w stół grzmotnął, okiem błysnął, zajaśniał cały, jakby nie sobą był w tej chwili, ale postacią malowaną pędzlem Matejki mistrza Jana.

— Precz! — huczał dalej, dłonie wznosząc, aż się cofnęły dziady w trwodze. Lecz on do córek gniew swój zwracał:

— Precz, mówię, baby, nie przeszkadzać, gdy wolę nieba wykonuję. Dość waszych rządów, dość skamlania. Zamykam sklep i działać idę w imieniu ludu, co mnie prosi, bym go ratował przed zagładą.

— O, dzięki, panie! — dziady wrzasły<sup>54</sup>.

— Dawać mi konie i karetę.

— Dokąd, ojczu? — zapłakały bliźniaczki.

— Do księcia arcybiskupa zaraz jadę w imieniu Panny Najlaskawszej. — Ze mną dziecko. Niech ono teraz mnie prowadzi!

---

Kroniki miasta zapisały dzieje tej wojny, którą dziadek rozpetał w związku z objawieniem. Kroniki — mówię to w przenośni, gdyż w nowych czasach wydarzenia w gazetach tylko pozostają. W starych rocznikach „Głosu Narodu” i „Naprzodu”, „IKACA”, „Czasu”, „Tempa Dnia” przeczytać można tę historię, która wstrząsnęła miastem całym, a dziadka mego w grób wpędziła. *CUD CZY OSZUSTWO* — napisano albo: *PRZEMYŚLOWIEC APOSTOŁEM, PROROCTWO ŻEBRAKA, NIEBIESKIE ZNAKI NAD KRAKOWEM CZY NOWE LOURDES?*. „Dziś w godzinach rannych do biur metro-politarnej kurii zgłosił się znany przemysłowiec, pan Ż., z niecodzienną wiadomością... Jak słyhać, kuria z nieufnością odniosła się do rewelacji, które zacny obywatel złożył”. Tyle prorządowy Ikac (takim skrótem nazywano poczytny „Kuryer” z Wielopola). A na to pepesowski „Naprzód”: „Ciemnogród w natarcie! Jak nas informują wiarogodne źródła, do magistrackich władz wpłynął wniosek o ustawienie świętej figury w miejscu sadzawki, co ozdoba jest miejskich plantów. Projektodawcą jest pan Ż., właściciel koni i powozów, karetok oraz karawanów, z którego usług korzysta próżność tak właściwa naszemu miastu. Jak słyhać — pisał postępowy dziennik — źle teraz idą interesa w owym zakładzie. Objawienie więc w samą porę przyszło... Reklama dźwignią handlu przecie, jak powiadali starożytni”. „Zaiste wzruszającą jest wiara ludu — odpowiadała prasa z prawa — w czasach zwątpienia, bezbożności, materializmu i swawoli, znalazł się przecie biedaczyna, prostaczek, nędzarz najpodlejszy, w którego uszach zabrzmiał śpiew chórów niewidzialnych. O, nie pytajcie, mędrki, o naturę tego zdarzenia. Snem było li czy urojeniem, głodową wizją czy gorączką nie całkiem wszak zdrowego chłopca... O, nie pytajcie wy, skeptycy, byście nie byli jako Piłat albo Tomasz-niedowiarek do końca wieków ośmieszeni. Cud jest wiarą i niczym więcej, niczym mniej. Jeżeli wszyscy uwierzycie wizjom biedaka, jak mu uwierzył pan Teofil Ż., przemysłowiec z Piasku, co usłuchał głosu serca i u władz wszczął odpowiednie kroki, ażeby cudnych snów nędzarza pamiątkę świętą ustanowić, a miejsce zabaw (znane niestety ze zgorzenia, któremu najwidoczniej sprzyjają władze, skapiąc światła malowniczo zakątkowi), miejsce zatem, brzydką opinią naznaczone, przemienić w sanktuarium kultu i łask, którego sława — któż to wie — rozszłaby się w mig

<sup>54</sup>wrzasły (gw.) — dziś popr.: wrzasnęły. [przypis edytorski]

po świecie, roznosząc razem z chwałą bożą, naszego miasta dobre imię... jeżeli wszyscy uwierzyli, że ten śpiew był niebios chórem, a postać Panny Czystej zjawą, cud się stanie, cud się już stał!" (patrz „Dzwon Niedzielny”, właściwy rocznik, o numer mniejsza, bo nie pomnę).

A na to zachowawczy „Czas”:

„Prostota godna zlitowania czy prowokacja grubo szyta? Awanturniczy wyskok z prawa czy lewicowa krecia gra? W kłopotcie teraz jest policja i miejska rada, gdy rozpętane fanatyzmy wyszły na rynek; w nie mniejszym wszakże ambarasie kościelne władze, których rezerwa przecież znana wobec ludowych inicjatyw w zakresie cudów i objawień. Procesje ciągną ulicami na miejsce rzekomego cudu, z dala pielgrzymki przybywają, zwabione plotką dewocyjną i wrzawą nierozważnych pism. Żywiół wzbiera, wobec którego są bezradne władze państwowe i duchowne. Tam gdzie wczoraj w słońcu perlila się fontanna i rozbrzmiewał dziecięcych głosów rażny gwar, gdzie w bżów kwitnących wonnym cieniu gruchali sobie czule młodzi, gdzie człek zmęczony spocząć lubił, pogrzać na słońcu kości stare i wzrok cieszyć królewskich ptaków majestatem (łabędzie autor miał na myśli), tam dziś tłumy depczą kwiaty i urzędnicy dewastują, wznoszą się śpiewy przeraźliwe, krzyki i płacze — tam świece płoną i pochodnie, tam przykrych kalectw widok straszy. Policja ani magistrackie straże nie śmia wkraczać, gdyż straszny bywa tłum w uczuciach swoich urażony; a groza rośnie, bo słychać z dala wrogie krzyki o ciemnogrodzie, średniowieczu... Już wywrotowe elementy rozpoczynają niecny polów w zmaconej wodzie. Ktoś gasi świece zapalone, ktoś obraźliwym śmiechem wita pielgrzymów nadchodzących nocą i dniem; raz wraz ktoś w tłumie krzyk podnosi o cudzie, co się miał wydarzyć, lub o pożarze, który grozi — raz wraz panikę lub histerię szerzy ktoś korzyść odnoszący z odruchów tłumy i ktoś do gniewu kusi wiernych, których pobożność niekłamana przywiodła w miejsce nieszczęśliwe. Już ponoć zagranicą głośno o tych żalosnych wydarzeniach, a jak to imię nasze psuje, jak interesom naszym szkodzi, kredyty nasze nadwiera — nie trzeba mówić... A więc pytamy wielkim głosem, do głębi serca poruszeni: *cui* ta awantura *prodest*? (tytuł notatki *Cui prodest?*<sup>55</sup>, a numer pisma później podam).

Mojego dziadka dobre imię często niestety wymieniano. „Wulgarną nam się wydać musi interpretacja marksistyczna postępowania pana Ż.” — brał go w obronę „Głos Narodu”, umiarkowany organ chrześcijańsko-narodowych kół. — „Ten znany z pobożności pan nie użyłby motywów wiary dla zgoła materialnych celów. Zawinił przecież naiwnością, z jaką dał posłuch zapewnieniom maniaka albo też spryciarza, który, jak słychać, zniknął z miasta”. „Zniknął, bo w kryminale siedzi” — drwił lewicowy polemista z „Naprzodu”, co od ćwierć wieku już prowadził bój z cytowanym wyżej „Głosem”. — Policja świętych też nie lubi, ni cudotwórców, Pan Jezus też by pewnie siedział, gdyby się zjawił w naszych czasach. Górą celnicy! I górą faryzeusz Ż.! „Czy jest normalnym ten pan Ż.”? — pytał brutalnie felietonista z popołudniowego „Tempa Dnia”. — Mówią postronni, że zdziecinniał, że mały wnuczek, dziecko dziwne, nie całkiem pono też normalne, wpływa na czyny przemysłowca i że rodzina już od dawna chce starca poddać kurateli...”

Pamiętne dni! Co do mnie, byłem w siódmym niebie. Wszak moim dziełem było to zamieszanie całe... To jedno moje „nie!” spod biurka wstrzymało dziadka, kiedy bzika czy franta zamierzał wygnać precz, „nie trzeba!” — krzyknąć tak, jak krzyczał wszystkim poprzednim wysłannikom szaleństwa. Jam to szaleństwo sprowokował, jam je wywołał z głębi duszy, z duszy dziadkowej, z duszy miasta. Moich żołnierzy ustawiałem pod biurkiem starca, co teraz przez dzień cały gawędził czule z wariatami, którzy się doń schodzili sznurem, jakby do króla czy patrona. Przed naszym domem tłum wystawał dziadów, dziwaków, wydrwigroszy, ciekawskich oraz policjantów tajnych i jawnych. A także dziennikarzy trocha.

Zasłony w oknach opuszczono jak w czasie wojny. Nikt z domowych nie opuszczał progów mieszkania. Służące tylko dla zakupów biegały chyłkiem, wczas o świecie. Nawet do stajen nie szedł dziadek, wiedząc, że całe gospodarstwo jest wciąż pod pilną obserwacją: w oknach i na balkonach, które na dziadka folwark widok miały, tłoczyły się ciekawe

<sup>55</sup>*cui prodest* (łac.) — czyja korzyść; część sentencji łac. „*is fecit, cui prodest*”: ten uczynił, czyja korzyść. [przypis edytorski]



głowy i krzyki brzmiały „idzie! idzie!”, gdy się kto ruszył po obejściu. Cisza więc legła uroczysta nad naszym domem i podworcem, cisza dostojna, nawet święta, jeżeli mimo uszu puścić naszych furmanów śpiew chóralny: ci zaś z nudów pili jak nigdy.

Jam był radosny i spokojny. Dziecko wszak w lęku żyje, pośród urojeń, których nikt nie pojmie. Dziecko więc w samotności wzrasta, wśród natchnień nagłych, obaw, przeczuć. Dziecku źle, gdy świat w pokoju i w równowadze miarowo swoją drogą idzie. Dopiero kiedy go wytrąci z ładu wstrząs jakiś nagły, kiedy strach się szerzy, a koszmar kształt realny bierze, gdy ludzie panowanie tracą nad biegiem zdarzeń, gdy są jak dzieci nieświadomi, jak one błędni i bezsilni, jak one pogrążeni w dziwach imaginali i gorączki, dziecko się cieszy — dziecko dumne, jakby nareszcie ludzkość cała uznała jego, dziecka, racje, jakby za jego poszła myślą, jakby się zdała w moc tyranii, jedynie słusznej, bo natchnionej.

Tak właśnie ja tryumfowałem, kiedy na głowie stanął świat w tej wojnie o mniemany cud.

Nikt w domu nie spał, a ja właśnie w zdrowy i krzepki sen wpadałem, gdym tylko do poduszki głowę przyłożył. Bez snów spałem, póki za ramię mnie nie targnął dziadek lub która z ciotek nie zawrzała. Chęć do zabawek powróciła i radość życia dziecinnego, radość beztroska i niewinna. Inaczej nawet się bawiłem, nie tak morderczo i okrutnie jak przed laty. Żołnierzy moich porzuciłem, szable i bębny poszły w ką. Ogródki z klocków budowałem, sadzałem lalki na krzeselkach (bliźniaczki, chcąc mnie odwieść kiedyś od moich zajęć nazbyt męskich, kupiły mi dziewczynskie rzeczy, które z pogardą odrzuciłem — teraz nagle poczułem pociąg nadzwyczajny do sielskich, cichych wyobrażeń). W foremkach gotowałem lalkom zupy i kasze, po czym mówiłem czule do nich, to jest do lalek, ucząc je ładu i higieny. Mrok polubiłem, mrok wieczorny, który panował przez dzień cały od ciemnych rolet opuszczonych; a za oknami burza trwała: okrzyki, śpiewy, czasem gwizdy, odgłosy bójek, z rzadka strzały. Ja zaś nuciłem piosnkę lalkom o ojcu Wirgiliuszu, który miał dzieci sto czterdzieści dwoje, albo o babie, która miała koguta w worku w pierwszej zwrotce, indora w drugiej, a trzeciej już nie pamiętałem — a pytać dziadka trudno było, gdy mu groziła śmierć co chwila ze strony rozjuszonych tłumów. — Oszust! — wołano za oknami — interes chciał se zreperować kosztem Paniienki Przenajświętszej! Teraz policja ludzi bije, gdy się gromadzą w miejscu cudu, a chłopów, co przyszli boso z dała, precz z miasta gonią... Dawać go tutaj, tego pana, co z nieba ma najświeższe wieści!

Kilka szyb z brzękiem poleciało, Dubiel deskami okna zabił, pachniało drzewem, chłodek miły wionął po plecach, dobrze było.

Niedługo zresztą... Ucichła burza, tak jak cichnie, kiedy ją niesie szybki wiatr. Lecz nie na długo, nie na długo, albowiem świat się zakołysał i stracił rozum; i niełatwo było mu wrócić do porządku.

---

Ja może teraz wszystko płacę, boć to już dawno temu było. Gdybym kronikę pisał państwa, miasta lub gminy czy rodziny, podałbym daty i nazwiska, kolejność zdarzeń, a ich ważność ująłbym lepiej, w świetle dziejów, to znaczy skutków oraz przyczyn. Ale nie dorósł chyba jeszcze do takich kronik — jeszcze dziecko i tylko to mnie w świecie bawi, co spełnia moje sny samotne, i tylko to mi w pamięć wpada, co moich przeczuć echem dźwięczy.

---

Dziadek po cudzie zbladł, pojaśniał i dziwnie, dziwnie wyszlachetniał; uciszył się i zubożętniał na wszystkie sprawy tego świata, bo w drugi, inny, niewidzialny wpatrzył się, wsłuchał, wmyślił cały. Majątek swój rozdawał teraz na wszystkie strony: dziadom dawał oraz ich posłom, co w ich imieniu datków proszą — charytatywnym instytucjom, żebraczym bractwom i zakonem. Fundował gwoździe do sztandarów — złote, na których imię jego ryto piękną kursywą; dla związków, kół, ochronek, szkółek, ogniw, schronisk, sportowych klubów i kościołów dawał na sprzęty, stroje, dachy — w żadnym „łańcuchu dobroczynnym” nie brakło jego szczodrych datków, a co „cegiełek” i „serduszek” kupił od domokrażnych dam, w ile skarbonek wrzucił grosz — nie zliczy nikt. A jemu mało,

wciąż mało było wszystkich ofiar: karetką swoją zaprzęzoną w białego konia ruszał w miasto każdego ranka na wędrówkę i całe dni uparcie krążył, szukając ofiarności celów, sam w swym natręctwie dobroczynnym podobny właśnie do żebraka.

I w dewocję, do której z dawna skłonności miewał, jak do rumu, wpadł teraz całkiem, wpadł z kretesem. Dewocja — mówią podręczniki — to skrajność jest w dziedzinie, która sama przez siebie jest skrajnością. A miłość mam na myśli bożą, miłość do Ojca Ojców Ojca, który jest Matką równocześnie. W Jego Osobie rozwiązany jest dramat przyjścia i początku — dramat, co u kolebki życia legł, przez to, że aż dwojga trzeba ciał, duchów dwojga, dwóch żywotów, aby to moje Ja jedyne stało się sobą — więc jednością... Z dwóch światów jeden? Czas jedyny z dwóch czasów różnych? Z dwóch ksiąg — jedna księga, zamknięta, cała i osobna? Stworzony — jestem podzielony, przychodząc w dwoje strony idę, waham się żyjąc, powątpiewam w natury mojej identyczność, błąkam się — Jedni poszukując; Ojca i Matki połączonych — szukam; gniazda, w którym się skryli — jak dzieci nadzy i niewinni — szukam; Bliźniąt onych bez grzechu z przezrystej pustki wywołanych, Hermafrodyty świętej — szukam, co mnie zrodziła aktem woli, osobnej, władczej, niepodzielnej, zanim zawładnął światem diabeł — duch, który przeczy, który skłóca, demon totalnej dychotomii.

Pobożność, Twórczość,  
Stworzenie

Ta miłość właśnie do jedności jest często źródłem szaleństw; dla niej poświęcić wszystko człowiek gotów, choć ona przecie zaprzeczona w samej naturze bytu, który z wielości źródła swoje bierze i ku jej pomnożeniu zmierza.

Szaleństwo, Obraz świata,  
Kondycja ludzka

Tak dziadek szukał jedni z Bogiem. Świat stał się księgą dla staruszka, księgą tajemną pełną znaków, do których klucze skryto przed nim, aby go zgubić i obłąkać. Więc gniewał się i z tego gniewu miłość do Boga tak wytapiał, jak w hucie metal z rudy czarnej i starych żelastw — metal czysty... (to porównanie nazbyt znane z kazań, przemówień i złych wierszy, aby je kończyć było warto). Już nikt z rodziny nie miał teraz względów u niego — ja sam tylko pozostawałem w jego łaskach, bom jako dziecko szybko pojął, o czym to myśli sobie dziadek, gdy mu, jak dziecku, nie zostało nic prócz myślenia.

Inni za to mówili, że zwariował stary. Ciasno się stało wokół niego od różnych bytów idealnych, które na pomoc przyzywał: święci i aniołowie otoczyli chórem starca. Antoni z Padwy szukał pilnie gdzieś ci posianych okularów, pantofli, spinek; święta Zyta gromiła służbę rozpuszczoną jak bicz dziadowski, a Józef — Panny Oblubieniec, patron rodziny, wysłuchiwał na córki gniewnych dziadka skarg, Tadeuszowi Judzie potem, Jezusowemu kuzynowi, oddając sprawy beznadziejne — to znaczy zakład, konie, weksle.

Czas nie był zwykłym dni szeregiem; potrójnym wątkiem biegly święta — potrójnie bowiem był święcony dzień każdy. Wpierw siedmiodniowy rytm tygodnia, co liczbą siedem stworzenia świata cykl wspominał, bo sześć kosmicznych dni pracował Ojciec — w siódmym spoczął. Od poniedziałków opatrności, przez wtorki, które miłosierdziu oddane były i aniołom — małych dzieci opiekunom — przez środy, którym święty Józef — Panny mąż czysty patronował, przez czwartki, co pamiątką były pokarmów ziemskich przemienienia w ciało i krew Boga-Syna; On w piątek umarł, by zmartwychwstać w niedzielę rano — w piątek więc żalność, a w sobotę oczekiwanie na wesele, oczekiwanie ciche, tkliwe, wspomnieniu Matki poświęcone. Taki był tydzień, czas domowy, mikro-cykl, który wywoływał z prądziejów świata cykl najpierwszy.

A nad nim rytm na co dzień cichy, niedosłyszalny dla laika sakralny rytm bożego roku, w którym zawarta tajemnica Pierwszego Przyjścia i Zbawienia. Początek jego był u styku jesieni z zimą, gdy listopad ostatnie liście strącał z drzew, a grudzień pierwszym mrozem ścinał ziemię i wodę, powlekał trawę białym szronem, a mgłę przemieniał w srebrny pył. — Spuście — śpiewano po kościołach — rosę, obłoki, rosę łaski, rosę zbawienia... Świat — śpiewano — od wieków nieszczęśliwy zamarł w głębokiej nocy i żalobie — a to znaczyło, że przez cztery niedziele grudnia ludzkość cała, w kościele rzymskim zgromadzona, raz jeszcze przeżyć ma samotność z czasów, gdy w grzechu i rozpacz czekała na Mesjasza przyjście. Czart nam panował, śmierć i trwoga — i fioletowe szaty wdziewał kapłan na znak, że w smutku wielkim sprawia ofiarę Adwentową.

Ale nadzieja w noc najgłębszą światła zapala ponad miastem; rankiem, gdy jeszcze ciemność trwała najbledszym blaskiem niezmacona dnia pobliskiego, kłapie siwek po

bruku mokrym, brodząc w zielonej strudze światła, i poskrzypuje resorami czarna trumienka z latarniami, w której dziadek z wnuczką ziewają, do kościoła spiesząc. Za cóż tak rano, kiedy właśnie najdłuższa teraz noc na ziemi do snów zachęca — zwłaszcza dzieci i starców życiem wyczerpanych? A tu staruszki zewsząd biegną w stronę kościołów oświetlonych i dzieci wloką rozespiane ku wrotom, w których dziady mruczają swoje modlitwy nieskończone.

Świeco jasna! (o świecy mówię, która nad innych świec szeregiem płonie w poranki adwentowe podczas mszy świętej odprawianej ku Panny czci, co Dziecka czeka) — ludzkość czeka na przyjście zbawcy, który jej winy zmaże wszystkie, biorąc na siebie brud i ciężar całej historii; ludzkość w czasie jak w labiryncie pobląkana, zróżnicowana nieskończenie wedle pokoleń, wedle kultur, skłócona, wzajem sobie obca, niewinna, póki nieświadoma winy — w postaci Boga-Syna znajduje jedność — jedność w grzechu. — Zgrzeszyłam — mówi wobec Krzyża — jestem zatem. Przez tę Osobę obciążoną winą ludzkości, ona, skłócona ludzkość sama, Osobą winną, więc moralną, odpowiedzialną, więc świadomą, staje się. O świeco jasna, mrok grudniowy rozjaśniająca... Zaspane dzieci przez staruszków pognane w zimną, mglistą noc, „spuście nam rosę” — cienko nuca; „*rorate coeli*”<sup>56</sup> szepce ksiądz... Świeco roratnia — tobie nuci uspioła ludzkość, w starcach i dzieciach tu obecna, tobie kolumno smukła z wosku, zwieńczona długą blasku kroplą, strzała z płonącym grotem w niebo wymierzona, wieżyczko biała uniesiona ponad uspiołe miasto w mgłach, maszcie, w żagle białe, w żagle błękitne przyodziany, chwytaj pańskiego gniewu wichry i w łaskę przemień — prowadź nawę miasta i świata ku zbawienia portom bezpiecznym — Panno Dziwna...

A po Adwencie — Narodzenie, różne radości i zabawy... aż do początków marca, kiedy przychodził Post. Wtedy odzywam: popiołem sypię głowy grzeszne, i *humiliate* — śpiewam ostro — *capita vestra*<sup>57</sup>, ludzie nieznośne, nieposłuszne...

Wędrując tak przez dzieje świata, wciąż go stwarzając, odkupując od nowa — razem z Trójcą Świętą — nie sami szliśmy z dziadkiem moim przez obszar roku i tygodni: z nami szli święci, z których każdy miał dzień osobny w kalendarzu. W orszaku szliśmy Apostołów, Ojców Kościoła, Męczenników, Biskupów, Królów, i Biedaków, którzy rzucili dobra ziemskie, aby za życia zakosztować rozkoszy obcowania z Bogiem; i Panny szły, co Oblubienica jednego miały na niebiosach, i Wdowy, które, rzekłbym, wtórne dziewictwo uzyskały wtedy, gdy ziemskie związki Bóg rozerwał wyrokiem śmierci na małżonków. Szli wszyscy święci, niosąc z sobą rzeczowe znaki swej świętości: infuły, pastorały, palmy, lilie i księgi, i korony, narzędzia męczeństw, jak to: piły i miecze, koła tortur, pale, na które byli wbici, bicze, i różgi, które ich chłostały — płomienie nawet, co spaliły ich ciała wyschłe, nieśli w dłoniach. Zwierzęta szły za nimi, które jadły ich ku uciesze tłumów: lwy i tygrysy, hieny, sępy... I nieśli także to, co dali za wiarę świętą: ten niósł głowę jak czapkę w ręce, ów zaś skórę, którą zeń zdarto, miał przez ramię jak płaszcz jedwabny przerzuconą. Wśród tych Młodzianków, Ogrodników, Antonich, Janów, i Grzegorzów, jak pośród druhów bliskich żyłem, albowiem obcy byli światu, jak ja od świata nic nie chcieli, jak ja tworzyli inny, czysty. Ja byłem świętym — i — na drogę świętości wiodłem dziadka, czyli w skrajność go wiodłem, która sama skrajnością jest, i konsekwencją wyprowadzoną ze zwątpienia w doczesną przyszłość. — Mój dziaduniu — mówiłem — pieszcząc starowinę — rozdałeś biednym chlebków mnóstwo, odzieży, grosza... A gdzie reszta? W banku masz jeszcze sporo złota, papierów pełno wartościowych w szufladach leży twego biurka, a hipoteki, place, grunta, a konie, uprzęż, meble, srebro... A co tale-rzy... Daj to wszystko potrzebującym, bo inaczej...

Tu milkłem. Ale dziadek wiedział, co kryje w sobie ta pogróżka.

---

Wszak spisek trwał na wolność dziadka; ciotki, wujowie wyglądali tylko okazji, aby orzec niepoczytalność, zatem niezdolność do rządzenia; do tego trzeba było świadków, więc przekupili służbę całą — i pokojówki, i furmanów — tylko nam nocny stróż pozostał

<sup>56</sup>*rorate coeli*, właśc. *rorate caeli desuper* (łac.) — spuście rosę niebios (fragm. *Księgi Izajasza* 45:8). [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*humiliate* (...) *capita vestra [deo]* (łac.) — pochylcie głowy (przed bogiem); liturgiczne wezwanie do ukonstytuczenia się, aktu pokory. [przypis edytorski]

wierny: Dubiel, pijak i łgarz — od niego znałem poczynania mych krewnych spiskiem połączonych.

— Ej, paniczu — mówił, z chichotem, który prędko w łkanie się zmieniał — co tu się dzieje u nas w domu, co tu się jeszcze będzie działo, gdy nie daj Boże dziadek zamknie na zawsze oczy i wyciągnie te swoje nogi schorowane... A co to z panem będzie, dziecko? A ze mną, gdy już na garaże oddadzą młodzi państwo stajnie, gdy konie gdzieś tam wyprowadzą, na dorożkarskie szkapy albo do armii czy na szynki... Podobno dobre końskie mięso... Hi, hi... — tu śmiał się nieprzyjemnie stary żalobnik i dodawał:

— Jeszcze bym tylko zawieźć pana chciał w karawanie, jak woziłem wszystko, co było znamienite i zmarło... Panicza tylko nie powiozę, bo czasy będą pewno inne... Mówią, że palić będą zwłoki, zamiast je grzebać na cmentarzach... Mówią, że wojna będzie, jakiej nie było dotąd... Ja tam nie wiem. Nic nie wiem. Wracaj do swych zabawek, młody panie...

Wracałem do nóg mego dziadka, w ciemną jaskinię, gdzie pachniało spoconym filcem starych kapci i wyschlłym drzewem. Wojska moje precz musztrowałem, pacierz szepcząc o zgubę wroga rychłą, krwawą i tak zupełną, jak zupełne było zwycięstwo nad szatanem Pana Zastępów. Jego służą tak wiernym byłem, jak żołnierze z ołowiu mnie byli wierni — świętym byłem — żołnierzem armii — instrumentem Pańskiego gniewu — anielskim mieczem i promieniem, co z ręki Pańskiej pada, pomór i pożar niosąc ludziom.

— Niedoczekanie — mruzczał dziadek, gdy mu donosił to, co Dubiel o ciemnych machinacjach gadał. Niejednom dodał, aby jeszcze podsyć jego gniew zbyt słaby. Mówiłem:

— Szpiegują każde poruszenie twoje i moje. Każdy grosz w jałmużnę dany biedakowi notują w książkach, aby potem dowieść, żeś bzik... A gdybyś nagle w złość wpadł, gdybyś coś rozbił, pobił kogo lub gdybyś głupstwo jakieś palnął, wszystko zapiszą i powtórzą gdzie trzeba: sędziom i doktorom, którym zapłacą, by cię zamknąć w domu dla niedołęznych starców. A wszystko po to, by sierotę skrzywdzić i zamknąć w innym domu...

— Niedoczekanie! — walił pięścią o stół, pod którym plany snułem i spod którego suflowałem, co ma uczynić zagrożony od córek złych.

— Co robić, dziecko? — pytał szeptem, dmuchając w wąsy.

---

Tak nieraz było w dziejach dawnych i w nowszych dziejach tak bywało, że doradcą monarchy, wodza, lub wodzem i monarchą samym, stawał się ktoś jak dziecko mądry: prosty zakonnik, karzeł chciwy albo filozof, który wierzył, że myśl wyprzedza egzystencję. Albo dziewczyna: głosy jakieś dały jej rozkaz, aby wdziała męskie ubranie i powiodła rycerskie hufce przeciw wrogom. A czasem był to chłopiec, który ledwie dwadzieścia skończył lat i hasło rzucał narodowi, by szedł na bój, na krew, na rzeź — nie liczył sił, lecz zamiar ważył, nie skutki, ale czyny ceniał, jak dziecko czysty, konsekwentny, w dziecko przemieniał cały lud. Płonęły miasta, lud pobity na próżno szukał winnych kłęski, gdy jak gorączka przeminięła dziecinną fazą jego dziejów.

Dla starca miałem taką radę:

— Wariata z ciebie, dziadku, zrobią, boś jest już stary. Bądź nim zatem. Bo wariat może rządzić światem, byleby głupstwo zgrał z metodą. Mówią, żeś bigot — ty bądź święty; że dobra trwonisz — rozdaj wszystkie; na dno opadnij, gdy cię topią — i sam dokonaj katastrofy.

— Ach, lotry — rzekł. Nie pojmował sensu moich słów. Nie słuchał, co mu głos wewnętrzny szepce przez usta dziecka złego, lecz i tak czynił, co mu kazał instynkt zniszczenia, który w każdym złowiekku kłęską zagrożonym ożywa na kształt złego ducha, co „zgiń” powiada ginącemu...

— Niedoczekanie — mruzczał gniewnie i dawał, co mu w rękę wpadło, każdemu, kto się wraz podwinął. A kiedy wrzask się wznosił w domu, że zniknął znów zegarek złoty — świętej pamięci babci klejnot — lub srebrny lichtarz czy patera, kiedy z podłogi zniknął dywan, obraz ze ściany — albo z banku przychodził list z zawiadomieniem, że znowu konto uszczuplono, albo z dziękczynieniem ktoś się zjawiał za hojny datek — kiedy płacze ciotek i wujów zlorzeczenia wstrząsały domem, wtedy: „Laskę” — huczał — „koniał” i „mały, ze mną!”... I do kościoła klapu-klap, na jakiś odpust lub procesję albo na zwykłą cichą mszę, albo tak sobie, tak po prostu, na drzemkę w ciszy rozpachnionej dymem

Świątynia, Zapach

kadzidła, stęchlą wodą (latem tylko, gdy lilie kwitły, ogrodem mocno pachniał kościół, a zimą, w porze żłóbka — lasem; a wiosną — w porę męki Pańskiej — hiacyntami oraz domem zasobnym, czystym i wesołym: wanilią, terpentyną, płótnem)...

---

...Świat we mnie widział dziecko święte (ówczesny papież rzucił hasło: — Niechaj — powiedział — wiek dwudziesty stanie się wiekiem świętych dzieci... Więc się mnożyły: coraz nową dziecinę odkrywano, która postaci widzi, głosy słyszy, róż zapach czuje i umiera wśród słodkich widzeń. Mały święty — ideał taki był na czasie: raz wraz broszurki wydawano o jakimś malcu, co przedwcześnie dojrzał do nieba. Przykład zaś działa...) Twarzyczkę miałem słodką, jasną, która kalectwo nagradzała głowy zanadto rozrośniętej.

— O, aniołeczku — lkały dziady, gdym z dziadkiem do kościołów wkraczał. Nieśmiałe dłonie dotykały ubranek moich; czarne zawsze nosiłem stroje, z koronkami u rąk białymi, i na szyi. Do całowania rączek moich pchali się hurmą, lecz za siebie chowałem dłonie mrużąc skromnie:

— Nie trzeba, mili, nie wypada!

— Krzyżyk nad nami zrób, paniczku — wołały z uniesieniem dziady, a ja z rumieńcem zawstydyzenia w powietrzu linie dwie kreśliłem ponad głowami schylonymi.

— O, jakie śliczne i nabożne to dziecko — szeptano, kiedym wchodził za dziadkiem do kościołów; dziadek pantoflami z filcu człapiąc (już tylko takie nabić umiał na popuchnięte stopy), laską ogumioną dziabiąc posadzkę, gniewnie przed główny ołtarz sunął, a ja z rączkami złożonymi tuż za nim. Włoski moje złote dłoń niejedna gładziła; panie lzy miały w oczach, usta karminem pociągnięte do mego czoła przybliżały — w zapachu szedłem, perfum, pudru, a dziadek mrużąc:

— Od bab z dala!...

Wpatrzony w ołtarz, w rzędy świec, w kwiaty, wazony i lichtarze, w filary, rami złote, skrzydła, w główki nucące pieśń bez słów, w serca kapiące krwi kroplami, w promienie z drzewa, w ciernie z drutu, w gipsowe chmury, w gwiazdy z blachy, i w te postacie kolorowe odziane w brokat, złoto, tiul, powiewające tasiemkami i gęstym frędzlem ozdobione, postacie, które ręce wznoszą albo klękają lub w ukłonach zginają cały tułów wpeł, przystępowałem do rachunków nieodwołalnych, ostatecznych:

— Najpierw dwie płcie od siebie precz — panowie w prawo, panie w lewo. Tak jak w dolinie Jozafata rozdzielił Ojciec ludzkość całą na złych i dobrych, mądrych — głupich, na jasnych — ciemnych, silnych — słabych, gdy wybawiona ludzkość przyjmie postać aniołów — mężczyzn smukłych, których na wieki usynowi przedwieczny Ojciec — a gdy reszta zmieni się w brzydkie i bezwstydne, gołe, kudłate, pstre, wrzaskliwe sieroty — baby, ja już dzisiaj, boskim pragnieniem uniesiony czystości, ładu i jasności rozwiązywałem dylemata życia; ono jest chaos, głupstwo, zanim...

Zanim przez miłość człowiek wejdzie w trwalsze od formy związku z życiem.

---

Więc „precz!” do bab wyfiokowanych, pachnących wołam — „precz!” z kwiatami na kapeluszach i w dekoltach, wynosić mi się w lewą nawę, a mężczyzn w prawą zganiam batem. I zmienić strój: wszyscy na czarno — w płaszczach z kapturem lub w welonach — wyjątek czynię dla mundurów wojska, policji oraz straży granicznej, miejskiej i pożarnej, także dla poczty i kolei... Tu się wahałem i w rozterkę co do mundurów popadałem, bo coraz więcej było służb w świecie, co ze mną równocześnie rósł i dojrzewał, coraz nowe wyjątki rodząc od reguły.

---

Więc w gniew wpadałem — dziecko słodkie — pań ulubieniec i żebraków. Na czele dziadów moich szedłem zdobywać miasto. Kroczyły moje głupki wierne, i cudotwórcy, wizjonerzy, przekupnie, grajki, wydrwigrosze — moje sieroty, moi chłopcy z zakładu Panny Oblubieńca — bractwo z kuchennych schodów, z podwórek, przedmieść — z bud nad Wisłą, którem oglądał<sup>58</sup> objeżdżając miasto dla dobroczynnych celów... Na

---

<sup>58</sup>którem oglądał — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: które oglądałem. [przypis edytorski]

czele dziadka klienteli precz szedłem pędzić... Dzwony były... I za kamienie — w szyby prask! — i miasto nasze. Górą dziatwa!

---

Więc ja na czele tłuszczy zbrojnej? Gdzież moja świętość, gdzie pokora? Gwałt jest świętości konsekwencją, ostatecznością skrajną samej skrajności. Co robisz, dziecko? Podnosisz chłopstwo przeciw władzy, kozaków spijasz wódką siwą i zbroisz w kosy oszalałą czern hajdamacką? Sztandar niesiesz pożogi, buntu — prawa depcesz, pod Parlamenty ogień kładziesz, dziecko potworne, dziecko święte, skrajności cnotą opętane!

Przyszedł twój dzień.

Znów do gazet trzeba mi sięgnąć:

„Dzisiaj z rana...” albo raczej: „w godzinach rannych pod Województwa gmachem stanął tłum, który wznosił wrogie krzyki i kamieniami ciskał w okna biur. Policja położyła kres gorszącym zajściom”. Tyle IKAC.

Ach, stylu, stylu dziennikarski, o, boska sztuko eufemizmu i omówienia! Tobie winna epoka nasza spokój sumień i jakie-takie zdrowie ducha. „Gorszące zajścia” albo „burdy... którym kres położono...”. „Siły porządku uśmierzyły... I przywróciły ruch normalny... Spokój panuje... Centra miasta mocno strzeżone... Obaw żadnych nie budzi nastrój mas”.

To znaczy:

Krew na bruku zmieszana z końskim łajnem i błotem w lepką maź, płachtą przykryty papierową podłużny kształt — i honorową straż trzymającą cztery cegły bacząc, aby papieru wiatr nie porwał.

To twoje dzieło, dziecko krwawe, te trupy śpiące pod płachtami. Twój o jedności doskonałej przeczysty sen i twoja święta pogodzonego świata wizja, tu, w prochu, w łajnie poniżona, gdy huczą salwy batalionów.

„Ubolewania godne fakty...”.

„Ta krew na głowy rządu spada!”.

„Krwawe tym razem żniwo zbiera antypaństwowa prowokacja obcym pieniądzem opłacana!”.

„Na równi płaczą krew przelaną żołnierzy oraz robotników, bo braćmi byli jedni drugim, tej samej matki dziećmi...”.

(Matką ojczyznę u nas zwano, chociaż „ojciec” jest rdzeniem tego słowa. Rzecz to znamienna, lecz nie trzeba snuć na ten temat spekulacji, bo cóż, słowo...)

Matka więc płacze, gdy jej dzieci walczą ze sobą. Kochałem ciebie, matko Polsko, i z tej miłości pokój chciałem na naszej ziemi zaprowadzić. Gdy tylko pierwsze wieści przyszły o niespokojnych zgromadzeniach (w Alei Wieszców, koło mostu, gdzie Dom Górnik) — rozkaz dałem: — Arterii strzec, co dostęp dają do śródmieścia; od tłumów z dala, aby nie drażnić ich widokiem hełmów i pałek — niechaj w bramach policja siedzi, wyjść gotowa dopiero w chwili ostatecznej.

A tłumom rzekłem:

— Towarzysze! Dokąd was będzie rząd tumanić planami reform i poprawy, dokąd plewami w oczy rzucać patriotyzmu i jedności! Nie ma jedności, gdzie bogaci tuczają się kosztem biednych ludzi. Jedność prawdziwą wprowadzimy, kiedy krwio pijcy pójdą precz! Więc naprzód, wiara, niechaj będzie jedna owczarnia, pasterz jeden — krzyknąłem gromko, ręką lewą znak dając tłumom rozgniewanym, a prawą policjantom, aby spełnili swą misję.

„Wtedy do smutnych doszło zajść...”.

Kamienie wyrywano z bruku nagimi dłońmi — zadzwoniły stalowe hełmy pod ciosami, i ten i ów policjant padł, i runął tłum na Somosierry ulic zamglonych mżawką siwą, bo to listopad — niebezpieczny spod znaku Strzelca, dla Polaków, miesiąc był właśnie — a rok który? Nie pomnę, bo to dawno było — może nie byłem jeszcze sobą — Dzieciną, chłopcem złotowłosym, lecz w jakiejś innej formie latał mój duch nad miastem oszalałym? Wszak nie biografię opowiadam, ani historię obiektywną, ale wyznaję winy — cudze; odpowiedzialność biorę, aby...

Aby powiązać słowo z słowem zasadą trwalszą niż formalna.

---

Historia, Duch, Słowo,  
Literat

Zatem wyznaję: wezwałem wojsko, broń kazałem nabić.

— Strzelajcie — rzekłem — nie panu Bogu w okna ani mieszczanom, lecz w pierś lub w łeb. Niechaj ta bitwa będzie krwawa, niech nas oczyści i pojedna trup, nad którym płakać będziemy wszyscy razem.

Tak powiedziałem.

— A wy — dodałem — towarzysze, dajcie się gniewu ponieść skrzydłom, jak burza idźcie pod urzędy, gdzie was czekają bataliony pułku piechoty, który Dziećmi swymi nazywa miasto Kraków.

Jednym i drugim rzekłem:

— Dzieci! Do krwi się bijcie o dziedzictwo po waszej matce (która jest ojcem jednocześnie). Niechaj gęsto zaściele trup alejki, w których rozbrzmiewał dotąd gwar wesoly ludzkości, co się nie odważa tak samej sobie spojrzeć w twarz, jak bratu patrzy w oczy brat, gdy nóż unosi lub karabin i „zginiesz”, szepce, „lub ja zginę”... Niechaj się spełni do ostatka mit, który głoszę: mit człowieka, co tożsamości swej zaprzecza.

Gdy rozkaz dałem, padły strzały.

Kondycja ludzka, Walka

---

Reszta znana z gazet, a nawet z podręczników nowszej historii. Oto relacja naocznego świadka — cytuję z materiałów procesu, co się odbył potem w krakowskim sądzie wojewódzkim przeciw przywódcom demonstracji.

— Stałem — powiedział świadek X (zwykły przechodzień, bezpartyjny) — naprzeciw województwa; miałem sprawę... mniejsza z tym jaką, chciałem tylko powiedzieć, że nic wspólnego nie miał z zajściami. Patrzę — wojsko idzie — cztery kompanie, w hełmach wszyscy. Lubię jak wojsko maszeruje, na defiladach zawsze bywam, dreszcz jakiś czuję, kiedy wałę o bruk podkute grubo buty. A gdy zagrają — niech to nagła... zda mi się wtedy, że ulatam troszkę do góry...

— Niech pan się streszcza — sędzia wtrącił — i niech nam powie, kiedy sam ujrzał demonstrantów.

— Stało wojsko w dwuszeregu i „w kozły broń” — komendę dano, a nawet palić pozwolono. I ja paliłem z żołnierzami, częstując nawet chłopców, którym na tytoniu nigdy nie zbywa. To jeszcze dodam, że nie mogłem zrozumieć, co się w mieście dzieje. Ja z Gdowa jestem. Coś mi w pociągu powiadali o jakimś strajku generalnym... Ja tam się nie znam na tych sprawach. Do województwa tylko chciałem...

— No, dobrze, dobrze — przerwał sędzia — co z demonstracją?

— Nagle przyszli — z przestachem w głosie odparł świadek — nagle wybiegli z wszystkich ulic, przez Planty biegli depcząc trawę i łamiąc krzewy — a krzyczeli! I krwią zalane mieli twarze niektórzy — a w rękach łomy i wyrwane deski z parkanów, kamienie, pręty żelazne...

— Dużo ich było? — spytał sędzia.

— Panie! Chmara! — wykrzyknął świadek. — Ja wtedy... Coś się wtedy stało ze mną... sam nie wiem, jak to było... Mówiłem przedtem, że się wznoszę troszkę do góry, gdy posłyszę podkutych butów stuk miarowy — wrażliwy jestem — ale wtedy to samo stało się na widok tej chmury...

— Jakiej chmury? — skrzywił się sędzia.

— Chmary, mówię, czyli gromady, tłumy, fali!

— Panie!

— Przepraszam, jeszcze płonę na to wspomnienie lotu.

— Co pan?!

— Leciłem jak na skrzydłach z nimi.

— Świadka widziano z karabinem — wtrącił gwałtownie prokurator — jak do żołnierzy strzelał, okna rozbijał kolbą — podważam zatem wartość tych zeznań!

— Niech pan mówi: kto strzelił pierwszy?

— Nie wiem! Z góry — tak! — jakby z góry padły strzały... A potem wszyscy już strzelali: który z żołnierzy zdążył chwycić karabin z kozłów — na bruk padał i nie celując szył przed siebie — trach-trach — ale niewielu było szczęśliwców, którzy ocalili broń i żołnierski honor pułku. Bo tłum był szybszy: rozebrali w mig karabiny i ukryci w krzewach, co rosła wzdłuż ulicy, trach-trach walili do żołnierzy.

Robotnik, Żołnierz, Lud,  
Bunt, Tłum, Sąd

— Z kim był więc świadek?  
— Nie wiem, panie...  
— Wnoszę o areszt tego świadka, co broń miał w rękach podczas zajść! Sam to przyznaje.

— Tak, przyznaję — odparł przechodzień i chciał coś dodać, lecz „dziękuję!” — zawołał drwiąco prokurator.

---

I wprowadzono następnego.

To był policjant. Nieszczęśliwiec! Bez czapki, zbity, rozbrojony przemykał chyłkiem w stronę koszar, gdy właśnie Dziadek wkroczył w akcję.

— Jak wzięto Dziadka? Świadek widział?

— O, tak, widziałem, panie sędzio... Ulicą Karmelicką szedłem, kryjąc się pod ścianami domów, bo kule, panie, tak gwizdały, jak pod Łowczówkiem, w noc pamiętną, kiedyśmy z Dziadkiem, panie...

— Dobrze — łagodnie przerwał sędzia. — Teraz niech pan o zajściach opowiada, a nie o wojnie, w której udział miał pan chwalebny.

— Szedłem zatem, a raczej kuszykałem, panie, bo nogę miałem uszkodzoną płytą wyrwaną z trotuaru, którą pod stopy mi rzucono, gdy tłum rozpraszał. Ulica pusta, jakby noc była głucha, chociaż w samo południe z ciężkiej służby szedłem przewiązywać rany moje... Wtem słyszę tarkot... Zrazu słaby, jakby zwykłej furmanki chłopskiej, co gościńcem z dala nadjeżdża. Nic nie widzę, bo mgła była tego dnia krytycznego — o, gęsta, jak pod Kostiuchnowką, gdyśmy...

— Innym razem!

— Tak jest, panie sędzio. A to słyszę, już nie wóz jedzie, ale walec się toczy i zgarnia przed sobą wszystko, co napotka. Nie walec, lecz dom jakiś ruszył — może ziemia pęka, bo drzenie poczułem, jak pod Gorlicami, kiedy artylerie trzech armii przemówiły razem.

— Przesada! — ktoś zakrzyknął.

— Być może — on odrzekł — opowiadam, co czułem, wtedy, gdy ten czołg się toczył wprost na mnie. Więc stanąłem...

— I w nogi! — znów okrzyk (*śmiech na sali*).

— Cisza! Niech świadek swą powieść bez przeszkód podejmie.

— Tak, uciekłem, przyznaję... Biegłem co sił, kulejąc, w stronę bitwy, co wrzała wokół Esplanady... Klamki bram szarpałem po drodze, szukając schronienia. Zamknięte na glucho! Okna osłonięte — noc! W biały dzień, chociaż mglisty, noc! Policjant zna dobrze samotność wśród domów uśpionych, w tej ciszy, co jak łoskot idącemu huczy. Teraz kanonada, krzyk, grzechot sunącego czołgu tak były ogromne, że mnie ogłuszyły — zdało mi się, że to cisza o skronie tak bije, jak na posterunku...

— Poeta — zakrzyknięto.

I znowu:

— Spokój! Bo każę publiczność usunąć — rzekł sędzia. A do świadka chłodno:

— Więc, hm... Głośno było czy cicho?

— Głośno przeraźliwie — ten odparł.

— A Dziadek?

— Ujrzałem go nagle, jak z mgły się wynurzył. Przywarłem do ściany, jakbym wejść w nią pragnął, stać się cieniem przechodnia rzuconym na chropawą powierzchnię. On szedł w chmurze błękitnej. Aż stanął o krok, tak blisko, jak... o! — wskazał stół sędziowski. Ktoś parsknął i ucichł.

— Czekałem — rzekł policjant — patrząc w lufy uniesione, którymi najeżony był jego pancerz. Na salwę czekałem w tłum, który w osłonę rozbitych tramwajów, wozów, aut, do góry kołami leżących na grzbietach jak chrząszcze, cofał się, bez popłochu, czujny i, jak mi się zdało, gotowy do skoku w chwili, gdy zabłyśnie w lufach uniesionych ogień. On czekał. Jakby się zadumał...

Głos:

— Sprzęt wojenny nie duma!

— Cisza! Wyprowadzić każę! Cóż Dziadek?

— Nie strzelał. Tłum, milcząc, poskramiał.



— A tłum?

— Walką rozszalały nie przyjął wezwania. Strzelono raz — dwa, jakby drażniąc olbrzyma. Gdy milczenia nie przerwał — ruszono...

— I bez strzału wrogowi zdano czołg, który imieniem Marszałka, Wodza Narodu, Ojca Armii zwany, symbolem był miłości, jaką naród żywi dla tego, co go do historii rozbudził, z niewoli wskrzeszając — bez strzału? — zawołał prokurator.

A potem, kiedy świadek milczał smutno, przedstawiciel państwa podniósł dłoń i skończył.

— Więcej pytań nie mam. Następny, proszę.

---

Tu ja wkroczę.

Nad gazetami dziadek ślęczał, które znoszono mu co rano, i sprawozdania wszystkie czytał, paszkwile, polemiki, mowy, które płynęły rzeką druku przez lata po tej rewolucji, co ją „krakowską” nazywano.

Kiedy się czyta pamiętniki wcześniej ode mnie urodzonych, szczęśliwszych dzieci, ich lekturą były „Dzwoneczki”, „Pszczółki”, „Słonka” lub „Illustracje” staroświeckie: długie kominy lokomotyw jak samowary ozdobione ornamentami; wystawy dali, które inauguruje cesarz z małżonką — cesarz z bródką i cesarzowa z długim trenem, którego każdy fałd i frędzel odrysowany cienkim piórkciem pobudza podziw dla precyzji i cierpliwości epok dawnych. Daleko — wojny egzotyczne toczą się pośród plemion dzikich z wojskami, które w krótkich gatkach albo w spódniczkach, w hełmach z korka, niosą kulturę w głąb pustyni. Co się kraju tyczy, włościanie i rzemieślnicy związki tworzą, aby oświatę propagować, zwalczać złe wpływy i pijaństwo. „Módl się i pracuj hasłem będzie przyszłej epoki” — głosi tytuł czcionką ozdobną drukowany, w winietce z kwiatów, w ornamentie pługów i młotów, słońc i krzyżów, i olbrzym z jaśniejącą twarzą, w zgrzebnej koszuli, ale czysty, patrzy z nadzieją na lepsze jutro, kobietę mając obok siebie zacną, choć prostą, oraz dziadek całą gromadę.

Ja zaś czytam:

„Zbrodnia czy rozpacz”.

„Ręka i miecz”.

I: „Jaką rolę w zajściach odegrał osobnik tajemniczy, który...”

Tajemniczy osobnik... Zły duch, mąciiciel czystej wody, przybysz z obcych, niewiadomych stron, mężczyzna w podniszczonym palcie i w kapeluszu miękkim, z wstążką; osobnik z teczką, który zniknął, lecz każdy widział go wśród tłumu, jak judził, szeptał, śledził — czujny, skupiony, ukrywający twarz, — gdy tylko stanął oko w oko z zwykłym człowiekiem. To on pierwszy kamieniem rzucił, za nim inni ulegli magnetycznym prądom, którymi tłum naładowany — on iskrę rzucił na dynamit zbiorowych uczuć; on — ten obcy — był ręką, która miecz podniosła, on winien śmierci, jego ścigać winna policja. Niech w ślad za nim pójdą czujni, jak on mizerni osobnicy w szarych paletkach, w kapeluszach miękkich z zatłuszczoną wstążką, także z teczkami, także cisi. Oni się znają dobrze z sobą — ci tajemniczy osobnicy.

Tu, w jawnej życia sferze — krew, krzyk, wystrzały, szarże, szturmy, pieśni; padają ludzie, wierząc słowom, które wzywają ich do walki w służbie rewolty albo prawa — giną — a potem im pogrzeby jedna lub druga strona sprawia, na grobach jeszcze pisząc hasła, którym ich śmierć pożywką będzie co rok — w rocznicę uroczystą.

Tak na powierzchni: słowa, słowa — i czyny, co się z słowem kłóć, zdradzone hasła, kručze prawa, wątpliwe prawdy — sprzeczność wszędzie, niekonsekwencja, nieład, niesmak i ni pies ni wydra dwuznacznych cnót, sprzecznych zasad, ogólny chaos, rozprzężenie, „stan, co sanacji szybkiej żąda”, „kryzys wartości” i zwątpienie, i jak to jeszcze wszystko nazwać: mętlik ogólny, „*Untergang*<sup>59</sup>...” czy „ciemnych sił podziemny spisek”?

Właśnie: oni! Tajemni osobnicy — nowy ład tworzą w ciszy, zgodni w tym tylko, by zredukować kategorie, których za dużo jest w użyciu oraz podziały nazbyt liczne — na partie, prawdy, prawa, wiary — zastąpić jednym — ostatecznym: na wy lub my, na

Tajemnica, Bunt, Tłum,  
Wina

Polityka, Historia, Obraz  
świata

---

<sup>59</sup> *Untergang* (niem.) — zagłada. [przypis edytorski]

prawo — lewo, wam śmierć lub życie, albo nam, nóż czy pistolet, białe — czarne, potem jedność — boska, krwawa — jedność zasady, jedność celów...

Lecz póki co — komedia trwa: lata nad miastem duch skrzydlaty mściwego dziecka...

Był dowódcą miejscowych wojsk generał Cz... (nazwisko jego pominiemy — może wstawione czynem godnym lepszemu miejscu w dziejach wojen niż to, na które wdarł się wtedy — a może w mękach umarł potem — w mękach sumienia czy wygnania — dość, że nie żyje...) On to właśnie dał rozkaz szarży. Z czeska brzmiało jego nazwisko, był już stary, zatem służbę — długą, zaszczytną, którą uwieńczył srebrnym wężem na epoletach i kołnierzu w austro-węgierskiej odbytej armii, i to w piechocie. Myśl ułańska, szalona, barwna, poetycka, o szarży myśli i błysku szabel, i o furkocie chorągiewek, do dziecinnego snu podobna — z jakich pamięci zakamarków wstała, jak opar przed wieczorem staję nad ziemią tworząc złudę góry, lasu, jeziora w miejscu równinnym i jałowym?

Pytam: kto mu podszepnął „generale, ułanów wezwij — każ im zająć zamkowe wzgórze na Wawelu, a kiedy przyjdzie chwila, rozkaż z góry, jak orłom, w ulic mrok spaść z trzaskiem kopyt, z wrzaskiem »hurra«, jak to uczynił z Kahlenbergu król Jan, co Turków pobił kiedyś, broniąc cesarstwa i Europy — niech barykady wezmą cwałem, jak na skinienie Bonaparta reduty brali w Somosierze, a pod Rokitną ruskie transze...”. „Skróć cugle i broń do ataku” — huknął generał Cz. w natchnieniu, a ja przysięgnę, że pod biurkiem tego ułana spóźnionego siedział Dziecko — wódz żołnierzy z ołowiu, cyny i papieru — ja tam siedziałem, wnuczek krwawy Dziadków spragnionych powtórzenia gestów historii dawno zmarłej.

Jam więc świadkiem na okoliczność szarży ułanów i masakry — ja nim z dobrawoli będę — bo wszystko, co się było stało<sup>60</sup>, widziałem pierwej...

— Świadek widział?

— Jakbym tam był.

— Więc nie był świadek?

— Jeżeli przyjąć chronologię za plan właściwy opowieści, jeszcze mnie na tym świecie brakło, kiedy ze wzgórze zeszyły konie... Ześlizgiwały się kopyta z kocich łebków i gładkich płyt, którymi brukowana droga spod bramy zwanej „Orlą” w dół prowadząca. Co sił wodze musieli ciągnąć chłopcy — ułani w rogatych czapkach — w tył ciągnęli, jakby z powrotem, w górę, w lęku, że im się konie stoczą, runą — na bruk zwałą, zanim dosięść zdoła ich szwadron obarczony rozkazem szarży.

— Dość! — przerwano. — Widział to świadek?

— Byłem z nimi od pierwszych do ostatnich chwil.

— Jako, przepraszam bardzo, kto? To znaczy: w jakim charakterze? Co mianowicie robił świadek w szwadronie jazdy?

— O głos proszę — wtrącił w tym miejscu prokurator — i żądam personalia sprawdzić świadka, co daty swych urodzin niezbyt jest pewny.

Na to rzekłem:

— Jak już sądowni wspominałem, w tych czasach jeszcze byłem duchem, jak każdy z panów, zanim światło ujrzał i pierwszym dał znać krzykiem, że egzystencję rozpoczyna. Więc duchem, mówię, byłem z nimi, kiedy „na koń” im rozkaz dano i gdy ruszyli stępą, wzdłuż Plant mgłą parujących. Brał przymrozek...

— Opis pogody niech na później zostawi świadek! Wiemy, że zimno, że wilgotno i mgliście bywa w listopadzie.

— Ta okoliczność — rzekłem — ważna, bo z niej natchnienie dla obrońców, a dla ułanów zguba. Któż to podszepnął myśl na bruk lać wodę, aby zamarzała, aby na tafłę lodu wjechał szwadron do kłusa poderwany? Kto? — pytam, maszynową broń, na piechocie wziętą, tam zwrócił, kędy konie, jakby zaklęte siłą ciemną, na szklawie świeżym pokłękły, zrzucając jeźdźców?

— Kto? — przerwał ostro rzecznik państwa — na to odpowiedź już nam dano. Wszyscy świadkowie przyznawali, że owym tajemniczym duchem, owym natchnieniem

<sup>60</sup>co się było stało (daw.) — forma daw. czasu zaprzeczonego; znaczenie: co się stało (dawniej, przedtem). [przypis edytorski]

Przywódca, Żołnierz,  
Wojna, Dziecko, Starość,  
Historia

Duch, Dziecko, Historia,  
Polityka

buntowników, co przeciw armii bohaterskiej, będącej naszą wspólną chlubą, przeciw miłości i nadziei naszej, zwrócili broń — tym duchem, mówię, był ów człowiek...

— Osobnik! — wykrzyknąłem z dumą. — Tajemniczy pan w szarym palcie?

— Właśnie on — odparł prokurator, i ostro: — Świadek wie, kim jest ten, co znikł, rozplątał się czy ukrył — ten duch czy cień, czy widmo jakie... Świadek wśród duchów ma koneksje, więc niech nam powie...

— Znam go, panie — odrzekłem. — Za nim właśnie biegłem korytarzami labiryntu. Z jego przyczyny tutaj jestem — to znaczy w świecie, i przed sądem. On moim ojcem.

— Kto? Bandyta? Spiskowiec? Agent? Awanturnik? Miecz krwawy czy zbrodnicza ręka?

— Wędrownik — rzekłem — duch zbłąkany, bez głowy, bo mu głowę zdjęto nad Nidą, kiedy w bagnach utknął jego koń wierny.

— Podważam — powstał prokurator — tych zeznań sens i wartość. Duchom tutaj wstęp wzbroniony.

Znowu wybuchnął śmiech na sali i znów go sędzia ostro stłumił. Wtedy wyszedłem albo raczej zniknąłem, jak zwykle duch znika.

---

Siedzi nad gazetami dziadek i nożyczkami szpałty kraje. Paski układa w skoroszytach i numeruje pracowicie błyszczące preszpanowe<sup>61</sup> teczki. Opróżnić kazał półki z ksiąg, w których spisane były dzieje zakładu koni i pojazdów — dziad jego, ojciec i on sam, w nich uwieczniali zamówienia: śluby, pogrzeby i rocznice, zjazdy, wręczenia i nadania, w których karety i powozy, i karawany naszej firmy miały swój udział. Te księgi w marmurkowy karton oprawne w firmie R. Jahody, były przymierza dokumentem — przymierza zawartego ongi miasta z rodziną, firmy z krajem.

A teraz wszystkie poszły w ką, pod ścianę, na podłogę, na proch.

— Na strych to wszystko wynieść każę — mrucał, gdy mu wadziły. Miejsce zwolnione w czarnych szafach zajęły teczki z wycinkami.

Wszystko, co w sprawie rewolucji, ulicznych walk, śledztwa, procesu, znalazł w „Nowej Reformie”, w „Czasie”, w IKAC-u, i „Naprzodzie”, a także w broszurach polemicznych, których stopy zwoził z miasta — wszystko, co napisano kiedy o tych „tragicznych wydarzeniach”, o „gniewie ludu”, o tej „hańbie, co na historię miasta spadła”, o „plamie krwi na czole państwa, co katem stało się w zaraniu swych nowych dziejów” — wszystko zatem, co napisano, orzeczono i co wykryto — chował dziadek i kładł na półki opróżnione z rodzinnych ksiąg.

Nikogo teraz nie przyjmował — ani klientów, ani biednych — pusto w przedsionku teraz było, cicho przed bramą. Cicho w domu, pokryli się gdzieś zamachowcy na dziadka oraz moją wolność — ciotki, wujowie, mecenasi. I modły dziadek też porzucił, opuścił świętych i kościoły omijał teraz w swych wędrowkach...

---

...Kłapu-kłap wzdłuż Plant wokół miasta, trochę w górę, trochę w dół. Planty: bzy, kasztany, czasem pomnik, dzieci krzyczą, starcy drzemią. Za drzewami stare miasto: przez gałęzie nagie świta stara cegła — wrzos przekwitły czy dzikie wino albo buk — takim kolorem cegła świta — i miedź nierówno zzieleniała jak staw tatrański — miedź w kaskadach dachów stromych, w dzwonnicy ostrzach, w kopułach lekko uwiązanych, jak atlasowe abażury.

A z drugiej strony: kariatydy, atlasy z gipsu i amorki pod brzuchatymi balkonami; miką błyszczący, stary tynk i sztuczny marmur na portalach; bramy od pokostu lśniące i do białości wyczyszczone klamki, tabliczki; w oknach tiul, koronki, palmy, konfitury, koty w poduszkach, ptaszki w klatkach i barometry z zakonnikami, który spod daszka nie wychodzi, bo niż jest wieczny w naszym mieście.

Pomalutku, krok za krokiem, wciąga konik trumnę naszą z uspiętym dziadkiem i dzieckiem, które przez okienko patrzy na miasto w dole, pod kołami, coraz ciemniejsze w cieniu góry.

---

<sup>61</sup>preszpanowy — zrobiony ze sztywnej, gładzonej tektury o dużej wytrzymałości. [przypis edytorski]

Góra — skała ostrzem wbita w rzekę, co się u stóp góry zwija jak szarfa w biegu porzucona — skała nagła, niespodziana w tej kotlinie mgły i błota — ponad miastem z cegły kruchej — biała, lita — jak słup graniczny wśród grzędawisk.

Stąd widać niebo, wschód i zachód, Tatry na południu, miasto całe i poza miastem linię wzgórz, na których kiedyś kozak czuwał. Tu świszczy wiatr w szparach karetki, bije w ściany. Bastiony, baszty, kościół, a w nim zawsze gotowe miejsce dla króla-ducha, gdy się wcieli w poetę albo szefa państwa lub w buntownika czy ułana. Dziadek uchyla melonika przed ciemną bramą, ponad którą kości olbrzyma na łańcuchu wiszą od niepamiętnych czasów; kiedy się łańcuch zerwie — spadną, i będzie wtedy koniec świata, płacz i zgrzytanie. Dziadek zatem uchyla grzecznie melonika przed Przenajświętszym Sakramentem oraz królami umarłymi i każe stawać.

Wysiada, kaloszami człapie ku blankom i patrzy w lustro dachów, odbiciem nieba zbłękitniałe.

— Gdzie by się skrywał tyle lat — szepcze do siebie trzęsąc głową — bez listu, słowa ani znaku... I jakby uszedł z tych tam błot, kiedy, mówili, utknął koń pod ogniem... Wszystko to kłamstwa — wykrzykiwał — lżą polikiery, hycle — i grubą chustką w kratę ociera oczy, wąsy, czoło, jakby się zmęczył na upale, choć to jesienne były dni. (Dlaczego wszystko, co pamiętam, i wszystko, co bym chciał utrwalić, działo się jedną porą roku: we wrześniu albo w listopadzie? A tylko jedno mam wspomnienie z maja — do niego jeszcze wrócę.)

— Syn pański, powiadają, żyje... Dobra nowina, mówię na to, lata czekałem na to słowo. Żona umarła, ja z tęsknoty — a, co tam będę mówił chamom... Więc, powiadacie, żyje dziecko...

I tak powtarzał całą scenę, nie bacząc, że przytomnym świadkiem byłem, pod biurkiem siedząc, kiedy ci trzech panowie w szarych płaszczach do kancelarii weszli rzędem, usiedli grzecznie, na kolanach złożyli teczki, na nich miękkie, z nieświeżą wstążką, kapelusze.

— My mamy jedną sprawę przykrą...

— My kilka pytań zadać chcemy...

— Służba nas zmusza — twarda ona — chociaż mundurów nie nosimy, żołnierze my są...

— A więc, panie — jak pana tytułować mamy?

Dziadek milczał i tylko kapeć raz po raz tupał mi przed nosem. A ja żołnierzy musztrowałem, uważnie nastawiając ucha.

— A więc pan, panie właścicielu, ma syna?

— Miałem — bąknął.

— A cóż się stało z chłopcem złego?

— Na wojnie zginął.

— Z czyjej strony?

— Z niczyjej, panie. Sam pozostał, kiedy mu utknął koń w bagnisku. Odeszli jedni, drudzy się jeszcze ociągali. Między frontami, w pustce zginął. A mundur? Polski. Czako miał na łbie z białym orłem, ale je zgubił, powiadają, w tym grzędawisku...

— Pan jest pewien?

— Czego? — warknął i, słysząc, sapie już z wściekłością, i laskę chwyta.

— Że — przepraszamy za natręctwo w sprawie bolesnej, osobistej — czy pan jest pewien, spytać chcemy, że chłopiec zginął?

— Panie — huknął ułana ojciec — ja... szukałem, szukam — nie! — ja czekam, ja — swoje na ten temat wiem!

— Co mianowicie?

— Że on żyje — nie żyje: jest! Chociaż nie mówi, nie oddycha, nikt go nie widzi, chociaż mu nie przybywa lat — jest gdzieś przecie, dopóki ja sam, ojciec, jestem. Dopóki czekam, tęsknię, wierzę. — Umilkł, a potem:

— Odejdźcie sobie — rzekł i dodał: — Nie dla was są te moje sprawy.

— O, pan się myli — odparł rażno jeden z agentów — dla nich właśnie tu przychodzimy...

— Mam wiadomość — dorzucił na to drugi pan (trzeci zaś „mamy!” wtrącił cicho) — tak jest, mamy wiadomość, czyli wiemy ponad wątpliwość wszelką, że żyje pański syn naprawdę, że go widziano.

— I że działa...  
— Na szkodę państwa.  
Milczał dziadek. Po długiej chwili rzekł spokojnie:  
— Dobra nowina.  
— I dla nas dobra — podchwycili trzej policjanci — albowiem tak się nam odnalazł ktoś, kogo z dawna już szukamy.  
— W niewolę, na wschód wywieziony wpadł pod złe wpływy. Wrócił potem już potajemnie, pod nazwiskiem obcym...  
— I z obcą także duszą czy głową...  
— Przeciw ojczyźnie knuć, spiskować — jakby chciał mścić się. Jakby we krwi chciał topić gniazdo, z którego wyszedł. Pożar rzucić w miejsce, gdzie kolebka stała, w której najpierwsze składał słowa, jakby chciał w samobójczym szale podciąć to drzewo, od którego jako owoc...  
Wstał na to dziadek:  
— Dość — powiedział — dość tych głupstw. Jakie dowody macie w rękach?  
— Jakie dowody? Oto one: są fotografie, są zeznania i listy, które pisał.  
— Listy? Gdzie są? Pokażcie! Pismo poznam!  
I ja wtedy na równe nogi z mej jamy wyskoczyłem z krzykiem:  
— Ja także poznam pismo chłopca, który zostawił zeszyt czarny, idąc na wojnę i na zgubę duszy i głowy.  
— Kto to? — krzyknął agent, ujrzawszy na kolanach starca dziecko w rogatej czapce z orłem.  
— Wnuczek — odrzekł dziadek.  
— Więc jego syn? A więc pan wiedział, że on żyje? Pan komedię przez całe życie grał przed miastem, państwem i rodziną?  
— Panie — powiedział dziadek — listy... Pokaż pan listy.  
— Nie! Dla dobra śledztwa i procesu...  
— Procesu?  
— On tu się zjawił, w naszym mieście, był pośród ludzi, co rozruchy przygotowali, aby władzę w swe ręce przejąć. On podburzał, formował grupy, dawał broń, przed frontem buntowników latał, wskazując cele karabinom. On winien śmierci tych ułanów, własnych kolegów, towarzyszy, których opuścił tam, nad Nidą... On — ułan, żołnierz Wodza, z wiary naszego dziadka chłopak...  
— Żyje? — wykrzyknął nagle dziadek-ojciec, nadzieją i rozpaczą tknięty. — Powiedzcie: żyje czy w niewolę wzięty jak wtedy? Mówcie zaraz!  
Powstali, zatrzasnęli teczki i kapelusze wzięli w ręce:  
— Ten fakt przemilczeć też musimy. Dla dobra śledztwa. To już wszystko.

---

Więc żyje Bolko, syn dziadkowy, o którym policjanci mówią, że moim ojcem był prawdziwym?

Więc trzeba było tyle lat czekać i szukać, płakać nocą, by taki szary, grzeczny pan zerwał zasłonę tajemnicy i dał mi życie po raz drugi... Tajny policjant z buntownikiem, rewolta ożeniona z prawem, światło państwowe z mrokiem spisku, orzeł i reszka, kolor biały z kolorem krwawym połączone — pokój z pożogą?

Ten związek wytłumaczyć może podwójną skłonność, której pastwą mój biedny umysł często pada, sprzyjając jednocześnie siłom porządku oraz ciemnym, spod ziemi wyszłym elementom, które dynamit podsadzają pod mój dom własny. Mundur lubię i łachman na włóczędzie śpiącym w przydrożnym rowie smacznie, gdy szosą wojska maszerują. Jestem za Świętą Hermandadą i za Cyganem, który łupi kupców wiozących drogą sukna. I kupcem jestem: wszak mój dziadek ma firmę, którą odziedziczę. Więc Biały jestem i Czerwony, zwycięzców kocham i pobitych, zaborcą jestem i powstańcem, żołdakiem regularnej armii i gerylasem, który czoło skrwawioną chustą przewiązuje.

Dwoisty, z sercem podzielonym, dwom naraz sprawom zawsze służę, a żadnej z nich za własną nie mam — miłości nie mam — związków z życiem serdecznych, trwałych, instynktowych. Podrzutek jestem i sierota, nieprawdy dziedzic, pogrobowiec.

Ojciec, Syn, Historia

Duch mój wolny — lata nad światem — formy szuka — gniazda, koliska, w które go przyjmą duchy inne, jak ja bezdomne i spragnione.

---

Patrzył dziadek na miasto we mgle.

Ono ciemniało pod oparem, jak grzęzawisko o wieczorze.

Nad nami katedralne mury z białego ciosu, szerniali święci, szczyty z miedzi — na nich dzwony, na grubych belkach zawieszono.

Na wałach rzędy starych armat, które już nigdy nie wystrzelą.

Spiżowy posąg bohatera czapką się kłania dawnym duchom i młodzież wzywa, aby szła zbawiać i wyzwaląć, burzyć i wznosić, wypełniać misje, cuda działać.

Słowami huczy góra stara, a wokół opar, grzęzawisko miasta i świata — i tam, w dole, zgubiony chłopiec — wnuk i ojciec — przez towarzyszy porzucony, błąka się jeszcze czy zabity?

I rzeka płynie wokół miasta.

---

Mój biedny dziadek umarł w maju — miesiącu poświęconym Pannie.

— Umarł — krzyknąłem tego dnia, biorąc gazetę jak co rano, aby mu przy śniadaniu czytać wieści ze świata, z kraju oraz miasta.

— Kto, wielki Boże? — zapytały ciotki, rozlewając kawę i mleko.

— Dziadek — odrzekłem, patrząc w portret na pierwszej stronie, w czarnej ramce, i przeczytałem wieść żalobną podaną w czterech krótkich słowach:

— Serce Marszałka bić przestało.

Nasz dziadek różki w kawie maczał i wąsem ruszał bez wzruszenia, patrząc przed siebie, jakby wcale tego, com czytał, nie usłyszał. A na portrecie głowa jego w śmiertelnej nędzy: podbródek ostro w górę podał, usta zacisnął i powieki — mocno, jakby na rozkaz z góry, jakby udawał przed kimś sen.

„Udaje — pomyślałem — jak ja, kiedy nie mogę w nocy spać”.

— Udaje — powiedziałem głośno, nie wiedząc wcale, że to mówię.

— Biedne dziecko — rzekły ciotki — nie rozumie, co to śmierć.

— Czytaj — mruknął na to dziadek, który nieprzerwanie jadł i żuł.

— Odszedł na wieki — przeczytałem — ten, co ducha...

— Jak?

— Tak tu piszą.

— Opuść to i dalej czytaj.

— Pobudził śpiące, zmarłe wskrzesił...

Dziadek z hałasem łyżką cisnął.

— Jakie zmarłe?

— Cicho, ojciec, nie krzycz, kiedy kraj w żałobie.

— Zmarłe nadzieje — wyjaśniłem.

Dziadek znów w kawie zmoczył wąsy.

— Wolności nam zapalił świt... Poetów dawnych wcielił sen... O wodzu sen i o sławie...

— Sny — rzekł dziadek — ciągle sny.

— Odchodzi w ciemność z ducha król...

Dziadek odstawił filiżankę i, serwetką wąsy gładząc, spytał:

— O pogrzebie nic nie piszą?

— Zaraz: kondolencje... posiedzenie... naród w holdzie... opuszczenie flag... i modły...

Przerzucałem szybko płachty, aż krzyknąłem nagle:

— U nas!

— Jak to?

— W naszym mieście pogrzeb będzie! W królewskich grobach na Wawelu spoczynek wieczny znajdą prochy, by był po śmierci królom równy, gdy im za życia dorównywał.

Dziadek wstał. Pięścią w stół uderzył.

— Co ojciec?! — zakrzyknęły ciotki.

Przywódca, Król, Pogrzeb,  
Polska

— Laskę.  
 — Po co?  
 — Płaszcz, melonik.  
 — Co chcesz zrobić, co? Na Boga!  
 — Nie! Cylinder, żakiet, krawat — wszystko, com miał na paradę... Dubiel kare niech zaprzęga, a dziecko ubrać mi na czarno. Pojedziemy.  
 — Dokąd?  
 — Do władz. Do magistratu, ofiarować po raz ostatni me usługi. Ja go powiozę! Moje konie!  
 — Ależ ojciec! Usiądź i pomyśl. Fantazją próżną poniesiony narobisz głupstw. To państwowa sprawa.  
 — Wszystkich woziłem, których myśli, on — jak tu piszą — w czyny wcielił. On z ducha — piszą — wódz i król, więc mnie ten pogrzeb przysługuje z racji najwyższej, bo duchowej.  
 Wrzasnęły ciotki przerażone, a on w natchnieniu dalej gadał, wciągając prążkowane spodnie, koszulę z plisą i kołnierzyk z rożkami w górę zagiętymi.  
 — Stare rachunki mam z tym duchem, który mi dziecko wziął i stracił. Stare rachunki dziś wyrównam w duchu — i z duchem...  
 A ciotki do mnie:  
 — Ty go wstrzymaj. Ty wpływ na niego masz ogromny. Przemów do niego głosem dziecka, bo coś straszego ojciec zrobi.  
 Ja zaś ubranko aksamitne z kryzą przy szyi grzecznie wdziwam i opuściwszy oczka mówię:  
 — Dziadunio zawsze wie, co robi.  
 Czeka już powóz, lśnią latarnie. Dubiel w liberii z guzem srebrnym, w kaszkiecie z daszkiem, w rękawiczkach. I trzęsą łbami czarne smoki.  
 — W górę — zakrzyknął dziadek — duchem! Przed główne wejście magistratu!  
 Godziny cztery my czekali, aż nas przyjęto w komitecie do spraw pogrzebu. Panów tłum w czerni i w białych kołnierzykach, kilku księży, rabin z brodą, cała gromada oficerów — w szaserach<sup>62</sup> i przy szablach wszyscy — na koniec policyjne szarże, błyszczące srebrem na ramionach.  
 Dziadek wyłożył w prostych słowach swoje zamiary. Rzekł:  
 — Panowie. Właściciel jestem firmy, która od z górą stu lat, przez dziadka mego założona, służy miastu...  
 — To — rzekł ktoś — wiemy. Do rzeczy, panie, nagli czas.  
 — Dziś już nikomu niepotrzebny mój zakład i mój dom. Bezczyinnie w stajniach konie stoją — białe i czarne, i kasztany — butwieją w szopach karawany, a ślubny atlas mole gryzą.  
 — Tutaj nie teatr, drogi panie.  
 — Ja jestem stary, umrę wkrótce, po mojej śmierci zakład weźmie mój wnuk jedyny — tutaj stoi — sierota z głową trochę dużą, lecz mądrą — oho, jak mądrą, moi państwo — Homera czyta i Szekspira.  
 — Prędeż, na Boga, mów pan swoje. Przed nami historyczna chwila. Wodza narodu grzebać mamy.  
 — Ja też historię opowiadam.  
 — Historię firmy i rodziny, a nie narodu, który przepaść odnalazł dzisiaj pod stopami, kiedy go osierocił Wódz, co ducha jego wcielił.  
 — Historię ducha opowiadam, który wędruje kędy chce i postać bierze coraz inną, kryje się, milczy, ale wraca, jak marnotrawny syn lub ojciec, co syna rzucił niemowlęciem, światami błądzi jako żebrak, żołnierz czy kupiec albo błazen, a wróci kiedyś, poda znak, zapuka w szybę, prześle list, snem wzruszy ciemnym lub podpowie słowo, lub czyn, lub tylko gest, i tak w nieodgadnionych głosach sierota znajdzie swój rodowód.  
 — Gdyby pan łaskaw był wyjaśnić...  
 — Chcę powieść Wodza — odrzekł dziadek.

Przywódca, Duch, Naród,  
 Ojciec, Syn, Błędzenie

<sup>62</sup>szasery — ciemne spodnie z lampasami. [przypis edytorski]

— To niemożliwe — odparł pan, który wysunął się z gromady. — Nie pańska rzecz historię grzebać. Kiedy Narodu Duch umiera i poprzez cały kraj wędruje, aby zapłakać po nim mógł sierota — lud, gdy umiera, aby powstać — żyć na nowo w formie nowej, nie pogrzeb trzeba nam odprawiać, jak innym zmarłym, ale odnowy ceremonial. Nie karawan, lecz armata w białe konie zaprzężona trumnie tej pojazdem będzie, bo do walki nowej idzie ten uśpiony, panie...

— Duch — dodano.

— Właśnie: duch. Nie te twoje żałobniki w czarnych piórach i czamarach, ale wojsko w szyku, z bronią, pieszo, konno, z chorągwiami i bębniami zaprzęg Wodza poprowadzi szlakiem królów i hetmanów na tę górę świętą naszą, gdzie od wieków duch się skrywa w lochów katedralnych mrok, aby w blasku nowym, z jutrznią... tego... nową wlecieć i na nowe, panie, szlaki, naród wieść. Czyś pan pojął?

— Nie — odpałił dziadek sam jak widmo błądy. — Nie pojąłem i nie pojmę, bo natchnienie inne mam.

— Natchnienie? — spojrzano po sobie.

— Jak pan rozumie to natchnienie?

— Zbudujemy — mówił dziadek — wóz, o, taki — z dłoni złożył dziwny kształt, jak piramidy — jakby ołtarz albo tron, dużo stopni, wielkie koła. Czerwonym sukniem przykryjemy...

— Czerwonym?

— I konie białe dam. Dwanaście koni — wszystko sprzedam — dwanaście białych koni sprawię i sam woźnicy miejsce zajmę.

— Pan? — zawołano ze zdumieniem.

— Myśmy są z Wodzem jednolatki — wesoło okiem mrugnął dziadek. I dalej swoją rzecz prowadził: — Pojedziemy ulicami... Dzwony, chóry, światła, kiry... Pod zamkową górę, nad brzeg, nad Wisły — rzeki brzeg urwisty, gdzie skała wprost do wody schodzi, skąd prehistoria źródła bierze, gdzie zabił smoka książę Krak, a potem córka księcia Wanda płynącej wodzie powierzyła swą cześć dziewiczą, gdy jej zagroził cudzoziemiec; tam, gdzie porachunków z losem dokonywali pradziadowie, pomost zbudujecie długi — na niezbyt wszakże grubych palach — na środek rzeki, jak ostrogę...

Brzękły ostrogi i pałasze. Wstali, co siedzieli dotąd. Do bocznej sali drzwi otwarto i stamtąd nowi weszli widzę — panowie w czerni i wojskowi, księża i panie w długich sukniach, i wokół dziadka tłum się zbierał. Szepty półgłośnie i szemrania, a tu i ówdzie parskał śmiech.

— Wyprowadźcież tego bzika — ktoś powiedział.

— A ten karzeł?

— Jego wnuczek, pono<sup>63</sup>, mówią.

— Może pstryknąć dla kurierka?

— Albo oddać do muzeum.

— Matejce żywcem zwiali z płótna.

— ...królewskiej — mówił dalej dziadek, powoli ręce w górę wznosząc.

— Co „królewskiej”?

— Rzeki, pewnie...

— ...na środek rzeki, która...

— ...toczy — ktoś odpowiedział — wody swoje.

— ...a na ten pomost chwiejny wjadę z moimi końmi dwunastoma — wprowadzę rydwan z trumną srebrną — wjedziemy razem na te deski, na wodę...

Tłum się rozstał. Jeszcze jeden wszedł do komnaty pan w żakiecie z gwiazdą orderu niżej serca.

— Minister — zaszumiało w tłumie.

— Co tu się dzieje? — spytał pan.

— Grabarz-poeta wizje snuje i ofiaruje swe usługi.

Dziadek, nie widząc nic dookoła, na twarzy purpurowy, krzyczał:

— I dacie ognia z wielu armat... A potem trrrrach!

<sup>63</sup>pono (daw.) — podobno. [przypis edytorski]



Umilkł nagle. Minister z pochyloną głową stał przed staruszką, który, zmęczony, ciężko dyszał.

— Pan chcesz, tego — rzekł minister — trach do wody?

— Chcę — odsapnął dziadek.

— Czemu?

Tu zmarszczył brew i nadął wąż, i na lasce, jak na szabli, wsparł się dziadek. Aż się cofnął członek rządu.

— Patrzcie, patrzcie — zaszeptano. — On! Marszałek! Jakby żywy. — I ten, i ów na baczność stanął.

— To w dawnych wiekach tak bywało — niepewnym głosem rzekł minister — że ktoś podobny do monarchy albo do wodza plemiennego, trach z nim w podziemia, razem z koniem... Ale do wody? Nie słyszałem...

— Na wodzie pomnik postawimy — wyszeptał dziadek wyczerpany. — Pośrodku rzeki, w pustce.

— Pomnik? Pośrodku rzeki? W grzęzawisku?

— Ułana — zaczął mówić dziadek, lecz przerwał. Ochrypl albo zgubił myśl.

— To ładnie nawet, ale jakoś... Nie ma zwyczaju topić zwłok. Protokół tego nie przewidział. Tu będą goście zagraniczni. Oczekujemy kilku królów, i wodzów paru, i marszałków... Na oczach świata, że tak powiem, utopić naczelnika państwa? Powiedzą, żeśmy barbarzyńcy. To w interesach nam zaszkodzi, a my tu budujemy COP, i w Gdyni mamy nowy port. I na wystawy posyłamy nasz drób wzorowy i maszyny. Myśmy są nowoczesne państwo, nie żadne tam pra — pra — tego...

— A duch? — zapytał z mocą dziadek.

— Co duch? — skrzywił się mąż stanu.

— Ducha, mówicie — chrypił dziadek. — Z ducha, duchem...

— E, to przenośnia. Za dużo grafomanów siedzi w departamentach propagandy.

Śmiech gruchnął, ale ucichł, ze względu na żalobę kraju.

Zrobiłem w stronę dziadka krok i lekko połą pociągnąłem.

— Dziadku, do domu czas powracać.

Nie słuchał; na twarz i szyję czerwone plamy wstępowały, jak chmury o zachodzie słońca, wróżące nocną zawieruchę.

— Woziłem — szepnął — od pół wieku na Wawel wędrujące zwłoki, które z obczyzny powracały wśród królów równe miejsce zajmując...

Ktoś już do ucha dostojnika szeptał, nazwiska wyliczając tych, których dziadek odwoził końmi na wieczną chwałę, do podziemi. Minister kiwał grzecznie głową.

— I jego miałem wieźć żywego. — Następny raz pojedę z panem — tak mi powiedział. Swoje rachunki mam... Dajcie zakończyć. Dajcie ten pogrzeb mnie odprawić.

Minister niecierpliwie rzekł:

— Pańskie zasługi uznajemy. Niech pan nie czuje do nas żalu, lecz to jest państwo — nie opera. Czy pan pojmuje?

Dziadek cofnął się, szczerwieniał, kołnierzyk zerwał wraz z krawatem, potem koszulę jął rozpinać, potoczył okiem łzawym wkoło, po strojnym tłumie pań i panów.

— Pojmuję, psiakrew, nie pozwalam — i na biust gipsowy w kwiatach, który w głębi sali stał, biust marsowy z nastroszoną brwią i wąsem jak wiecha, podniósł gniewną pięść.

— Licz się pan... — zakrzyknięto w tłumie. Zadudniły kroki woźnych — dziadek zachwiał się — i padł.

Wyniesiono go jak kłodę. Biegłem za nim do powozu z melonem w ręce, który zgubił.

---

Konał od południa do wieczora. W jadalni dookoła stołu, cała rodzina zgromadzona na ostateczne rozstrzygnięcie czekała walki, którą starzec wiódł z partnerem, co mu wymówił pakt, lat temu siedemdziesiąt z górą zawarty, z obopólną zgodą. Za drzwiami zamkniętymi wrzała milcząca bitwa, a w jadalni, jak w mieście, o którego los biją się armie pod murami, kobiety nieruchome siedzą, zastygłe w lęku i żalobie. Bliźniaczki obie, przytulane, na jednym krześle tak przysiadły, jak ptaki dwa — okryte szalem, wspólnym, w kwiaty

i ptaki haftowanym. Z dala od siebie siostry dwie — zameżne, każda z garstką córek. A w rogach przeciwnych sali, wujowie w kłębach dymu stali.

Czasem któryś z nich ruszał z miejsca, aby stół obejść; wtedy drugi w przeciwną stronę marsz zaczynał. I zajmowali nowe miejsca, trzaskając papierośnicami.

Szyby drżały i blask jaskrawy uderzał w okna, gdy ulicą, w pobliżu parterowych okien przeleciał tramwaj w iskrach sinych. Czasem ładowny wóz turkotał i wruszał domu fundamenta. Stara pocziwa niańka moja — wniosła herbatę w filiżankach i coś tam jeszcze do jedzenia. Każdy odmówił poczęstunku z wyrazem wstrętu i bólesci, bo jeść nieładnie, gdy za drzwiami ze śmiercią walczy bliski krewny. Ja za to zjadłem, co mi dano. Jak nigdy służył mi apetyt. Jadłem jak głodny pies, mlaskając, świadom, że nikt nie powie słowa, abym się ładniej zachowywał.

— To z nerwów — powiedziano tylko.

Na pewno z nerwów. Śmierć za drzwiami, więc wszystko winno być na odwrót, bo śmierć jest samą odwrotnością. Jem i chcę spać, bo życie nowe ze śmiercią dziadka rozpoczynam. Skórzany, przepaścisty fotel w kącie odsunięto, koło pieca. Kocami wymoszczono gniazdo dla mnie, co ulubieńcem byłem starca, którego ziemską drogą właśnie dobiegła swego kresu. Dziadek w tym samym siadał miejscu podczas rodzinnych konferencji. Dziś odchodzi, a ja w fotelu rodzinę na uwięzi trzymam — wujów i ciotki, i kuzynki — brwi marszcząc, gdy się która z kobiet w krzesle zakręci lub za głośno chrząknie czy sapnie któryś z wujów. Zegar ścienny tyka jak dawniej, skacze wahadło w szklanej szafce i złote wagi opadają — co kwadrans bije płaski gong.

Strach ich jak dawniej trzyma w ryzach. — „To mnie się boją — myślę sennie — bo ja im teraz szkołę dam”.

Wypędzę z domu, wydziedziczę. Pieniądzy trochę na pociechę dam — ale dom chcę mieć dla siebie — pusty, bez żadnych, panie, bab. Sam sobie starcę, abym plany mógł w czyn wprowadzić — plany wielkie...

Afisz wypiszę i przybiję do desek bramy pluskiewkami:

— Wzywa się wszystkich młodych mężczyzn, którzy nie mają dzieci, żon, ojców ni matek — w łapie silnych, zdrowych i rosnących, nierozmownych, niechaj do kancelarii przyjdą — pierwsze drzwi w prawo, na parterze — codziennie rano będę czekał, na miejscu powiem, o co chodzi... Za biurkiem siadę, w którym dziadek drzemał całymi dniami oczekując tego klienta wysnionego, który zakładu świetność wznowi jakimś dziejowym zamówieniem i w tył obróci koła czasu. Moc chłopca na mój zew się zwali, bo w kraju głód i bezrobocie. Ci, co strzelali do ułanów, przyjdą najpierwsi — tych mi trzeba. Policję, z którą sąsiaduję — bo jej część gruntów sprzedał dziadek — razem z babami wygnam precz; potrzebne będą mi koszary — więzienie także mi się przyda.

Najpierw mundury uszyć każe; portki lampasem przyozdobię, na piersiach pasy dwa — na krzyż, na czakach orzeł — albo sęp z dzieckiem w pazurach. Na Błonia — marsz! Pieszko i konno, w samochodach, w tankach i wozach pancernych. Ustawię w rzędy i przemówię.

Dokładnie nie znam manifestu, który ogłoszę moim wojskom. Nie wiem, jak powiem, że mym celem najodleglejším, ostatecznym, będzie świat cały opanować, aby na nowo od początku, raz jeszcze zacząć jego dzieje. Zniesiemy wszystko, co istnieje: zawile prawa, kręte drogi, za gęste miasta, trudne książki, złączymy państwa, zakażemy mówić różnymi językami. Nie będzie różnic klas ni ras, znajdziemy sposób na choroby i zatrzymamy czasu bieg, aby dzieciństwo trwało wiecznie.

A na to wszystko jedna rada: siłą obalić stary ład, siłą odebrać po kolei wszystko, czym oni dzisiaj rządzą: starcy i baby, i doktorzy, i mecenasi, ministrowie, księża, rabini, policjanci, wszyscy dziadkowie i wujowie — przeklęte ciotki — wszyscy oni — to są rodzice sfalszowani... A my jesteśmy dziećmi ptaka — orła czy sępa drapieżnego — który nas nosi długo w szponach, zanim porzuci gdzieś w pustkowiu, w miejscu i w czasie obojętnym...

Więc naprzód, dzieci! Do ataku! Zajmijcie dworzec, pocztę, pompy — rozbijcie sklepy! Miasto nasze, a jutro dla nas cały świat!

Takie plany sobie snulem, gdy umierał... Spałem smacznie, śniąc, że idzie, że się zbliża wielkie, ciemne — jakieś zwierzę — zwierzę czynu — albo chmura...

Dziecko, Przywódca, Wizja,  
Walka, Rewolucja,  
Dzieciństwo

Wtem szarpnięto mnie za ramię: i zaszemrał mi nad uchem głos bliźniaczek:

— Wstawaj, dziecko! Dziadek chce ci coś powiedzieć. Biegnij szybko, póki czas.

Długi korytarz dzielił pokój, w którym zebrała się rodzina, od gabinetu, gdzie pan domu rozstrzygnął swą ostatnią sprawę. Przez ciotki obie prowadzony szedłem marudząc, że mnie budzą, że chodzić każą, gdym ja senny. A już przed drzwiami zamkniętymi, kiedy poczułem zapach lekarstw, do tyłu skoczyłem i krzyknąłem:

— Nie chcę! Nie pójdę, bo się boję.

— Dziecino, dziadzius chce cię widzieć.

— Ale ja nie chcę! Ja chcę spać!

— Dziadzius umiera!

— A nieprawda!

— Dziecino!

— Spać chcę! — i jak długi ległem, pod głowę piąstki obie wcisnąłem, jak to zwykle robić, kiedy do łóżka spać się kładłem.

Wtedy z hałasem drzwi otwarto.

— Skończył — oznajmił jakiś głos.

Skoczyły ciotki, a z jadalni wybiegli pozostali krewni. Służba ruszyła z zakamarków, w których się dotąd kryła z płaczem. Kiedy przebiegli wszyscy — wstałem. Podeszedłem do drzwi i zajrzałem. Na wysokim łóżku, w blasku świec, ponad głowami schylonymi ujrzałem to, com widział rano na fotografii, w „Kuryerze”: stercząca w górę broda — wąs, szczecina szara na policzkach. Otwarte oczy i ruchome od świec, płonących u wez-głowia. W otwartych ustach szklana kula — tęczowa bańka, która rosła, gdym do pokoju wchodził cicho, a pękła, kiedym krzyknął „dziadziu!”.

Załkano wkoło, ksiądz się zbliżył, podźwignął w górę dłonie starca, które opadły ciężko z łoża, jak wiosła w wodzie pogrążone, i w sztywne palce włożył z trudem krzyż. Potem wata lekko w oliwie umaczaną dotykał piersi, czoła, ust, dłoni i stóp zmarłego. Wodą na koniec skropił łożo, ściany pokoju i nas — żywych, szepnął nam wszystkim dobre słowo i cicho wyszedł.

Z kolan wstały ciotki.

— Zamknąć mu oczy — szepczą — podwiązać brodę. Dajcie chustkę...

I oto leży dziadek w babę wbrew swojej woli przemieniony: fularem czarnym owinięty, czarną kokardę ma na czole, na którym krople potu schną. Wtedy mnie pusty porwał śmiech.

Z pokoju precz mnie wyrzucono. Zdarto ubranie, ułożono w łóżku za siatką, jakby zwierzę. Zaraz zasnąłem. Długo spałem bez żadnych planów i bez marzeń.

Pogrzeby obu dziadków odbyły się dzień po dniu. Tą samą ich wieziono drogą, choć w przeciwnych kierunkach. Jednego w stronę dworca, popod kolejowy most, bo w tamtej stronie był miejski cmentarz, gdzie czekał otwarty grób rodzinny — kamienny dom wkopany w ziemię z figurą Panny ponad płytą.

Drugiego mieli wieźć nazajutrz z dworca ku miastu, w górę, w rynek, a z rynku jeszcze dalej w górę, na zamek.

Tak się minęli dwaj dziadkowie, jak się mijają chmury dwie, przeciwnym prowadzone wiatrem.

Chmura, chmura — przyszła właśnie, gdy karawan toczył się wolno w swoją stronę. Kłapu-kłap dzwoniły po betonie kopyta starych Dubielowych koni, a sam Dubiel w zrudziałym pirogu na siwej głowie, drzemał na wysokim koźle, wolno opuściwszy lejce. Ciotki, wujowie i kuzynki w ślad za nim podążali w zamkniętych powozach, a ja szedłem z boku, z nianią, bo mnie nie zechciano zabrać aż na cmentarz, abym nie doznał wrażeń dla dziecka nazbyt silnych.

A na ulicach praca wrzała. — „Hej!” — i — „rup!” — krzyczeli chórem robotnicy, dźwigając w górę maszty z czarnymi chorągwiemi i orłami z blachy srebrnej u szczytów. Z okien i balkonów wywieszano dywany, portrety — kirem owijano uliczne latarnie. Krzyże z tektury, cyfry w wieńcach z liści złożonych, wstęgi białe, czerwone, błękitne, czarne wiązano w węzły i kokardy. I ciemniało niebo.

Od zachodu chmura szła i nad miastem przystanęła, gdy karawan mijał dworzec kolejowy i pod wiadukt bruk począł chylić się, jak przeciążony prom. Dubiel korbą szybko kręcił, zgrzytały hamulce, spieniły się od wędzideł końskie pyski. Orszak cały zapadł się pod most, w tunel wpłynął, w cień. A z czoła tunelu zrzuciono naraz płachtę czarną; na niej widniały krzyż i buława. I chmura dalej na wschód szła.

— Burza będzie — rzekła niania, co mnie za rękę prowadziła. — Nazad trzeba nam, paniczu. Burza będzie straszna, bo ta chmura czarna taka, duża, gęsta, jakiej nie widziałam jeszcze, odkąd żyję. Oj, paniczu, znak niedobry, strach mię zbiera. Pan Bóg płacze, pan Bóg także wdział żalobę.

Zawróciłem bez protestu, nie przez grzeczność, lecz ze strachu, bo od maleńkości burzy bałem się od nocy gorzej i od psa. Do domu przyspieszonym krokiem szliśmy poprzez chorągwiany las.

I powiał wiatr. Zachwiały się maszty, zatrzeszczały u podstawy, zadzwoniły orły z blachy, sprężyły się płótna, jak człowiek, który w plecy cios otrzymał i z bólu drży przez chwilę, zanim padnie. I ucichło. Myśmy co sił biegli, a nad nami z lewa, prawa trzaskały zamykane okna. Chorągwie odetchnęły jeszcze, jakby z ulgą, że im pofolgował wiatr. Jeszcze ołowiany blask, jak opar przedwieczorny, snuł się nad asfaltem suchym i okna domów szklily się, jak wzrok gasnący. Kobieta rękę mą puściła, biegła, zaciągając węzły czarnej chustki, a ja za nią coraz wolniej, bo powietrza opór wzrastał i nogi w bruku grzęzły. W głębi ulicy wzbila się szara ławica pyłu i ku nam potoczyła się z szelestem, jakby fala na brzeg wyrzucona, która w górę tryska, zanim na kamieniach skona. W kurzawie płachty wiatrem gnane, wstęgi, litery i girlandy; majowe liście z drzew stargane bruk zaścieliły i znowu w górę wlatywały, nawet po śmierci niespokojne. Oczy, usta, uszy zasypał proch. Kobięcy krzyk z oddalenia wołał mnie i wołał, a tu drzewców jęk, łoskot płótna, dzwonięcie blachy, szkła i drutów, do gardła nocy skaczą Dubielowe psy i gwizd nocnego stróża głuzy nagła zawierucha.

---

Na tym opowieść zakończona. Tym ją lekarzom przypisuję, którzy badają twórczość dzieci.

---

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0. PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kijowski-dziecko-przez-ptaka-przyniesione>

Tekst opracowany na podstawie: Andrzej Kijowski, Dziecko przez ptaka przyniesione, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1968.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Aleksandra Sekuła.

Okładka na podstawie: Robert Couse-Baker@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-5630-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).